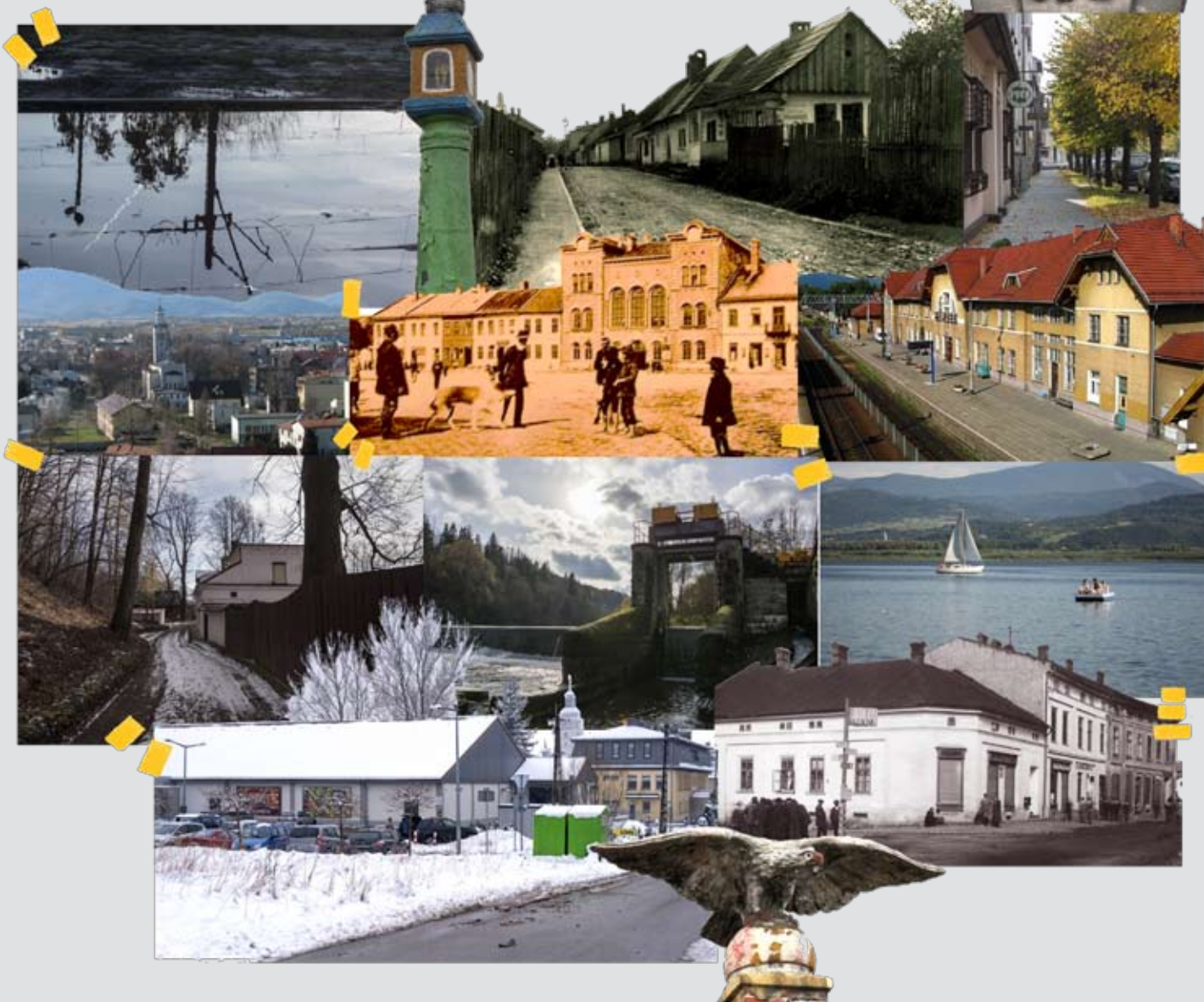


ANNA BARABASZ - tekst TERESA CIMAŁA - zdjęcia
JOANNA ZAJĄC-SLAPNIČAR - opracowanie graficzne



MOZAIKA ŻYWIECKA



PRZEWODNIK NIEBANALNY





*Dziękujemy wszystkim, którzy pomogli stworzyć ten przewodnik.
“Mozaikę żywiecką” dedykujemy Helenie, Michałowi i Jankowi,
naszym dzieciom.*

Autorki.

Projekt został dofinansowany w ramach
Funduszu Społecznego Grupy Żywiec

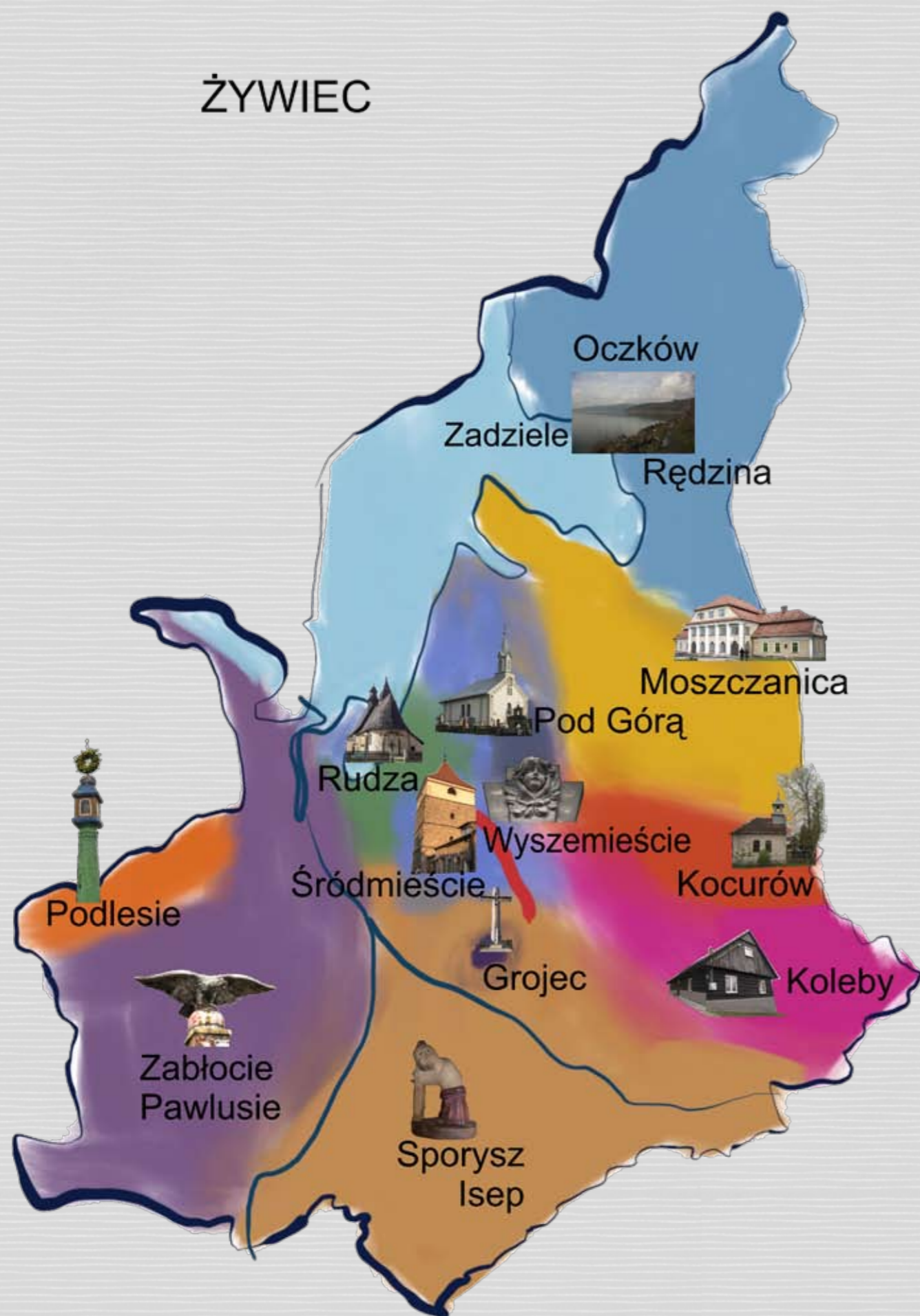


Spis treści:

| | |
|--|----|
| WSTĘP | 3 |
| PODLESIE – Katarzyna i Andrzej Kuglarz, Józef Wandzel | 4 |
| RUDZA – Teresa i Maciej Cimała | 10 |
| RĘDZINA – OCZKÓW - ZADZIELE – Maciej Pezdek | 16 |
| MOSZCZANICA – Uczennice i Uczniowie Zespołu Szkół Agrotechnicznych i Ogólnokształcących w Żywcu-Moszczanicy pod opieką Joanny Paciechy | 24 |
| KOCURÓW – Grażyna Stasica i Katarzyna Stokłosa | 32 |
| KOLEBY - Cecylia Słowik i Antoni Hyliński | 42 |
| SPORYSZ i ISEP - Zbigniew Micherdziński i Leszek Cieślik | 50 |
| WYSZEMIEŚCIE - Jerzy Chrobakiewicz | 60 |
| POD GÓRĄ - Andrzej Ostrowski | 68 |
| ŚRÓDMIEŚCIE - Zdzisław Binda | 76 |
| GROJEC - Michał Sobala | 84 |
| ZABŁOCIE i PAWLUSIE - Maciej Wojtyła | 92 |



ŻYWIEC



MOZAIKA ŻYWIECKA PRZEWODNIK NIEBANALNY

Oddajemy w Państwa ręce efekt naszej dziewięciomiesięcznej pracy nad miastem-mozaiką. Pomysł narodził się w zasadzie przypadkiem. W 2017 roku troje mieszkańców Żywca rozmawiało przy kawie o ludziach, świecie i II Pawilonie Sztuki Kobiet, który był właśnie przygotowywany. Rozmowa od kondycji twórczości lokalnej przeszła na tematy związane ze specyfiką miejsca, w którym przyszło nam żyć. I tak się jakoś stało, że każdy miał inną wizję tego miasta. Trzeba było to zbadać. Chwilę więc później powstał projekt, realizowany przez trzy Żywczanki: Annę Barabasz (Zabłocie), Terenię Cimałą (Rudza) i Joannę Zając-Słapnicar (Śródmieście).

Im dłużej trwała praca, im bardziej zagłębiałyśmy się w lokalne historie i przestrzeń, tym bardziej wciągał nas ten Żywiec – nieŻywiec. Mało tego! Okazało się, że jest jeszcze ogrom ciekawych miejsc, którym trzeba w przyszłości poświęcić uwagę.

Ten przewodnik powstał dzięki ludziom i ich opowieściom. Każda odwiedzona przez nas część miasta ma zatem inną twarz. Raz jest to kobieta, innym razem mężczyzna, czasem są to duety – rodzinne albo przyjacielskie. Opowiadają o swojej części świata ludzie w różnym wieku, o różnych pasjach i doświadczeniach. Łączy ich jedno – mieszkają w Żywcu – a dokładnie w Kolebach, Kocurowie, na Ispie, w Sporyszu, na Podlesiu, w Moszczanicy, na Grojcu, w Oczkowie, Zadzielu, na Rędzinie, w Śródmieściu, Pod Górą, na Rudzy albo w Zabłociu. Bo to właśnie poszczególne elementy tkanki miejskiej.

Jaka jest żywiecka mozaika? Czy elementy pasują do siebie? Co łączy te miejsca, a co stanowi o ich wyjątkowości? Proszę posłuchać opowieści naszych Przewodniczek i Przewodników, a następnie koniecznie sprawdzić osobiście.

Zespół „mozaiki żywieckiej”

Cimała

Anna Barabasz

J. Zając-Słapnicar



PODLESIE

Jedziemy na Podlesie. Pada deszcz. Jest wczesny wieczór. Z podwórka naszych dzisiejszych Przewodników widać sieć bunkrów, które ciągną się ponoć przez Zabłocie, pola radziechowskie być może aż do Węgierskiej Górki. Widać również doskonale kościół w Pietrzykowicach. Wokół pola, a od południa potok i stare drzewa. Gdzie jesteśmy? W Pietrzykowicach. Choć jak się okaże - granice nie zawsze są tam, gdzie ich szukamy. Dziś rozmawiamy z Katarzyną i Andrzejem Kuglarzami, oraz panem Józefem Wandzlem, ojcem Kasi.



My tu jesteśmy Łodygowice gmina, a Pietrzykowice miejscowość. Związani z Podlesiem szkołą – mówią nasi Gospodarze.

- Kiedy ta szkoła powstała?

- Ha! Ja na początku jeszcze chodziłam do starej szkoły. Szkoła jest od początku w tym samym miejscu. Kiedy ona mogła być budowana? ... Pamiętam starą szkołę – całkiem malutka była. Dziadek by wiedział wszystko o szkole – wspomina Kasia.

- Sam ją budował... dodaje Andrzej.

- Idź poproś Dziadka – prosi Katarzyna swojego syna.



Po chwili dołącza do nas pan Józef Wandzel. Pytamy o dyrektorów: padają nazwiska Furtak, Kasińska i Bury. Stanisława Kasińska – jak wspomnianą nasi dzisiejsi przewodnicy - całe życie mieszkała na Podlesiu. Uczyła w Pietrzykowicach, a gdy powstała szkoła na Podlesiu, została tutaj właśnie dyrektorką.

- My jesteśmy teraz gdzie? W Pietrzykowicach?

- Tak.

Jadąc do naszych dzisiejszych przewodników przejeżdżaliśmy przez mostek nad potokiem, otoczonym starym drzewostanem, w przeważającej części liściastym. Jak się okazuje, na tym właśnie potoku jest granica.

- To jest Żarnówka – dowiadujemy się od Andrzeja.

- I tu jest granica między Podlesiem a Pietrzykowicami – dodaje Katarzyna. W zasadzie do pewnego momentu Podlesie było podzielone. Bo część Podlesia długo, długo należało do Pietrzykowic.

Faktycznie, historia Podlesia i jego przynależności administracyjnej jest nieco złożona. Było więc Podlesie przysiółkiem Pietrzykowic. Następnie jego część przyłączono do Żywca w 1952 roku, a pozostałą część - w roku 2001.

- I granicą zawsze była nawet nie szkoła, bo szkoła zawsze była w Zabłociu. Granica była tam, gdzie jest ustawiona kamienna figurka w ogrodzie. To był ostatni dom z Pietrzykowic. A następny – po drugiej stronie tej drogi – to już był Żywiec. I wśród starszych ludzi taki podział jeszcze jest – że należymy do Pietrzykowic, chociażby parafią. Bo połowa Podlesia związana jest z parafią z Pietrzykowic, chociaż należą do parafii Zabłocie. To taka pozostałość po dawnych czasach...

Figurka w ogrodzie Państwa Olszowskich, jak opowie później Pan Józef, była przenoszona gdy robiono tu drogę i asfalt. Stały tam dwa duże, grube drzewa, a kapliczka stała pomiędzy nimi. Żeby droga się zmieściła, trzeba było drzewa wyciąć i kaplicę przesunąć. Wieść gminna niesie, że ponoć był tam skarb... Przy kapliczce rokrocznie odbywa się święcenie pokarmów – przyjeżdża na tę okoliczność zawsze ksiądz z Zabłocia, choć figurka jest w parafii Pietrzykowice.

- A kołęda?

- Kołęda idzie dawnym torem: to co do Pietrzykowic należało, to należy do parafii Pietrzykowice. Parafia Zabłocie jest do granicznej figurki, i szkoła też jest w parafii Zabłocie – dlatego my na religię chodziliśmy do kościoła w Zabłociu. Całe życie chodziliśmy na religię tam – dopóki nie wprowadzili religii w szkołach.

- Czy ten teren gdzie teraz się znajdujemy jakoś się nazywa szczególnie?

- Teraz ulica Żwirowa – mówi Andrzej.

Kasia dodaje: Całe życie ludzie mówili, że to są chodniki.

- Chodniki.

- Tak. Tu nigdy nie było asfaltu, na asfalt to, ja pamiętam, myśmy się składali - to mogły być początki mojej pracy zawodowej albo jeszcze szkoła średnia. I zawsze się to nazywało Chodniki. Nazwę „Żwirowa” nadali tutaj dopiero po tym, jak zrobili asfalt. Starsi ludzie mówili, że my tu „na



chodnikach” mieszkamy, albo że „idą do Wandzla na chodniki”.

Do kościoła w Zabłociu na religię dzieciaki z Podlesia chodziły „na skróty” dwiema drogami: albo przez tereny dawnej cegielni miejskiej, albo przejściem pod nasypem kolejowym prowadzącym na Łączki. Ta trasa jest do dziś obecna na mapie żywieckich rowerzystów. Ta druga droga była też doskonałym skrótem na most - bo żeby przejść z Podlesia do Żywca – czyli na prawobrzeże – trzeba było dostać się na most w Zabłociu. „Nowy” most powstał dopiero w roku 1999.

Kasia wspomina: był tu dawniej bar „Smakosz”. A teraz w miejscu baru „Smakosz” jest teraz McDonald’s.

- To było coś w stylu „Baru pod Trupkiem”? Piwiarnia?

- To było bardziej pod PSS-owskie bary...

- Ale zupełnie inne niż „Trupek” – bo w „Trupku” było mało miejsca, a tutaj w „Smakoszu”



było więcej przestrzeni, można było wygodniej usiąść przy stoliczkach w środku czy na zewnątrz...

- dodaje Andrzej.

- I była tam spora przestrzeń zadaszona, wiata – uzupełnia Kasia - było sporo miejsca. Pamiętam, że chodziło się tam na oranżadę, lemoniadę od czasu do czasu. Dawniej na rolniczym Podlesiu raz do roku

odbywało się bardzo ważne wydarzenie – młócenie zboża. Wszyscy z Podlesia i Pietrzykowic młócili na jednej maszynie. Kolejka wozów czekała na swój czas. Młockarnię miał pan Kolęda z Podlesia. Była więc młockarnia, i było wydarzenie towarzyskie, bo stało się w tej kolejce czasem i do pierwszej, i do drugiej w nocy. Towarzyszyły temu rozmowy, śpiewy, dowcipy – nie było sensu iść do domu, bo nie wiadomo, kiedy przyjdzie kolejka, telefonów nie było. A nikomu nie chciało się gonić tam i z powrotem.



- Podlesie długi czas funkcjonuje jak zielona enklawa, w pewnym oddaleniu, wokół pola. Potem powstaje most, ekspresówka, i nagle zostało ogrodzone drogami.

- No tak. To się stało w

zasadzie teraz. O! idzie nasza Ostoja! – Kasia anonsuje wchodzącego do pokoju Tatę, Pana Józefa Wandzla.

- Chodź Tato, będziesz opowiadał. Bo ja nie pamiętam już, jak wyglądała stara szkoła na Podlesiu. Drewniana była?

- Nie. Murowana.

- Ale mała.

- Mała. Rozbudowali w późniejszym czasie.

- A czy to był dom przerobiony na szkołę?

- Nie. To był budynek specjalnie budowany z przeznaczeniem na szkołę. Bo tu szkoły nie było na Podlesiu, i z Podlesia wszyscy chodzili do Pietrzykowic. Nie do Żywca jak teraz, tylko do Pietrzykowic. A budowa szkoły to były lata gdzieś 50-te.

- Stara szkoła – uzupełnia Kasia - a nowa? Kiedy ją rozbudowali?

- Twojego Dziadka brat – opowiada pan Józef – zaczął budować tę szkołę. Załatwił w Łodygowicach, bo to pod Łodygowice należało, załatwił to. I pole dostali, i zaczęli budować.

- No...

- I wybudowali parę klas. To nie była szkoła do 7 klasy, tylko klasy młodsze się tu na początku uczyły, a starsze dzieci szły do Żywca i Pietrzykowic.

- A jak się nazywał ten Pan?

- Wandzel. Adolf Wandzel.

- Kasiu, a Ty kończyłaś szkołę na Podlesiu?

- Tak; zaczynałam jeszcze w małej szkole, ale w trakcie szkołę rozbudowali. Jak ja kończyłam 8 klasę to już zaczęli budować salę gimnastyczną. Później z Andrzejem byliśmy na festynie z którego pieniądze przeznaczone były na salę gimnastyczną. To było w latach 90-tych.

- Czyli ta szkoła powstała w czynie społecznym? Budowali mieszkańcy?

- Tak jest! - potwierdza Pan Józef.

- A teraz jest pusta...

Co to jest Podlesie?

- Podlesie podlegało do kościoła Zabłocie. Ale nie całkiem. dalej to już Pietrzykowice.

- To kiedyś była jedna ulica. Parę domów Jak ja tu przyszedłem na Podlesie mieszkać, to może było 10 – 15 domów. Później się to rozbudowało.

- A mieszkańcy? Byli tu od zawsze? Czy to było osadnictwo związane z jakąś budową?

- Tu było kilka domów, kilka rodzin które miały tu pola. I uprawiali.

- Tu były półrolki. Nie było takich działek jak teraz – były półrolki. Biegły od Pietrzykowic aż tam gdzieś na Kabaty – dodaje Kasia – i jeden człowiek miał taki półrolek, długi. I na tym się budowali. A potem to dzielili: na mniejsze części, na mniejsze działki, sprzedawali



albo przekazywali i na tym się dzieci najczęściej budowały. I dlatego na Podlesiu dużo jest takich budynków, gdzie rodzice są, a obok dziecko wybudowane. I tak się to tutaj na tym Podlesiu podziało.



- Panie Józefie, a gdy Pan zamieszkał tutaj, to ile miał Pan lat?
- 18.
- Jakie nazwiska pamięta Pan z tamtych czasów z Podlesia?
- Kantyka. Bułka. Sowa... Przywołuje Pan Józef kolejne nazwiska.
- A Marszałek? I Loranc? – pyta Kasia.
- A skąd! To później.
- A Zoń?

- Zoń też jest młody. Też młody... Jeszcze Kasiński, Piątki, Koczur, Masny...

- Tadeusz Masny... Masnego to już chyba nie ma żadnego na Podlesiu?

- Nie ma – potwierdza pan Józef. Chwile rozmawiamy o nazwiskach, pokrewieństwach, sąsiadach i pochodzeniu. Wspominamy zbieżność nazwisk w rodzinie czy po sąsiedzku.

- Zanim wybudowano szkołę na Podlesiu, to gdzie dzieciaki z Podlesia chodziły do szkoły?

- Do Pietrzykowic. I do Zabłocia – mówi Pan Józef.

- Czyli podzielone to Podlesie było cały czas? I kościół też tak samo – do figurki....

- Tak. I dalej jest podzielone – mówią wspólnie Pan Józef i Pani Katarzyna.

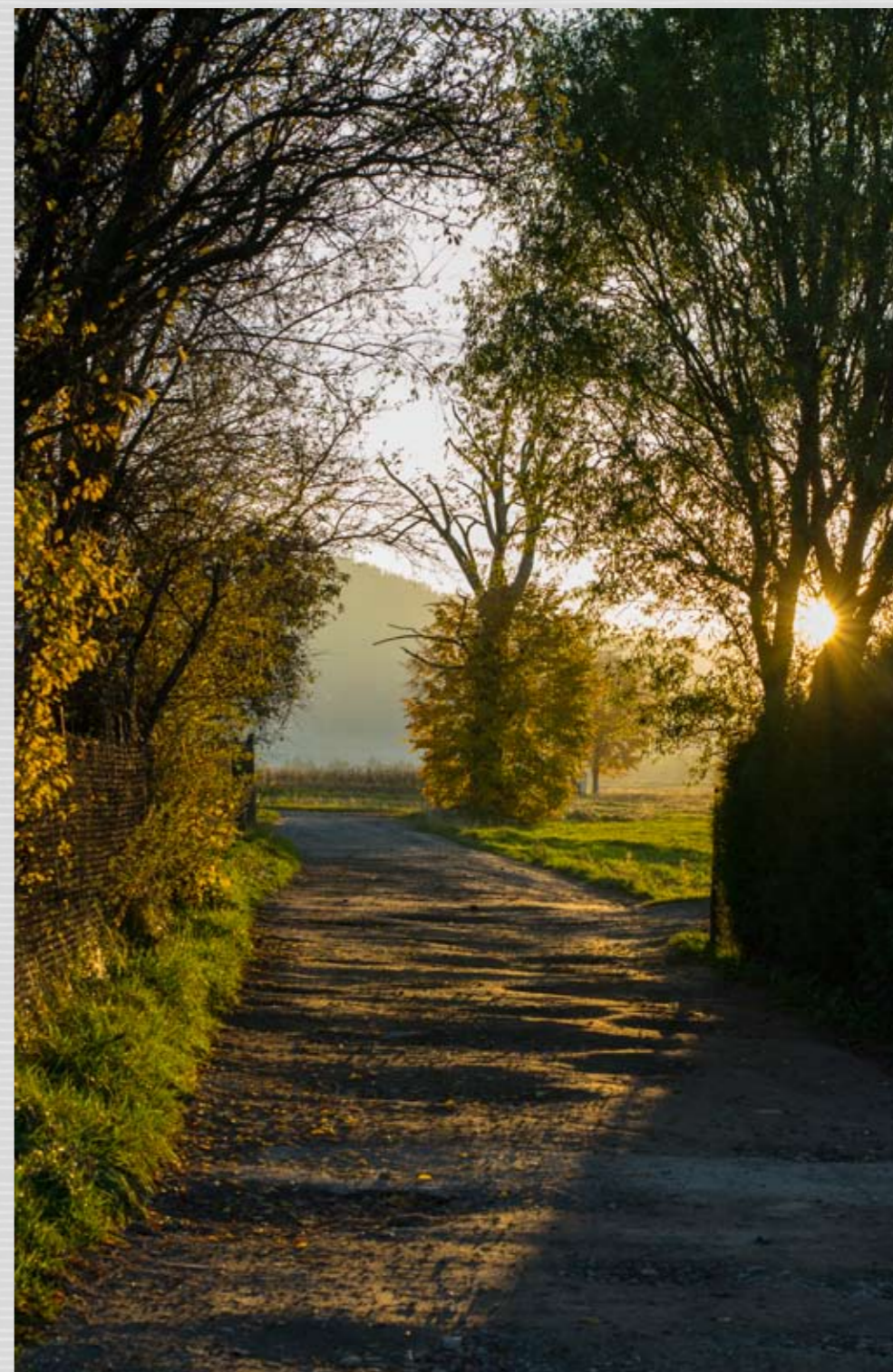
Po chwili Pan Józef dodaje, że dawniej, jak nauka religii nie była w szkole, to tu w prywatnym domu kobita odstąpiła pokój. U Kozoka to było, i chodził ksiądz z Zabłocia na religię. Pytam jeszcze o granice: Podlesie to zatem teren pomiędzy



potokiem Żarnówka od starej kapliczki z Jezusem Frasobliwym, drogą ekspresówką, od ulicy Wesołej w lewo patrząc w kierunku na Bielsko. Część domów przy ul. Wesołej to też jeszcze Podlesie – bo, jak mówi Kasia – było to policzone stronami. W zależności od której strony było wejście do domu. No i z Sienną od zachodu, bo Podlesie stanowi również zewnętrzną granicę Żywca. Jak mówi Pan Józef – koniec Podlesia jest tam, gdzie dom miał Gęga. Jeden dom tam stał. Wewnętrzną granicę wyznacza dzisiejsza ulica Żwirowa – która biegnie od Jana Pawła z Pietrzykowic, koło cmentarza, dalej jest lipa obok której się skręca w stronę Podlesia. I na mostku na Żarnówce spotykają się administracyjnie: Żywiec i Pietrzykowice. Do Żarnówki jest Żwirowa w Pietrzykowicach, od Żarnówki – Żwirowa w Żywcu. Albo odwrotnie – w zależności od której strony przybędziemy. Parafie sięgają bardziej w głąb Podlesia – kluczowa jest wspomniana już kapliczka z piaskowca, gdzie ulica Żwirowa łączy się z ulicą Podlesie. Terenia jeszcze uzupełnia: Chyba się dużo na Podlesiu zmieniło, gdy most wybudowali.

Bo ja pamiętam – a mieszkaliśmy po drugiej stronie – że dla nas to był odległy brzeg. A jak został zbudowany most, to odkryliśmy nowy kawałek świata.

Faktycznie – most połączył dwa brzegi dzisiejszego Żywca – Rudzę i Podlesie. A w zasadzie chyba Żywiec. Rozmawiamy jeszcze o blokadzie ronda przez detektywa Rukowskiego, budowie McDonald'sa i przeniesieniu szkoły nr 9 w miejsce Gimnazjum nr 1. Można do szkoły dojechać autobusem MZK linii nr 18. Wcześniej była tam SP 7,a jeszcze wcześniej SP 4. Przed wojną restauracja – jedna z piękniejszych ponoć w Zabłociu. Ale to już zupełnie inna historia.



RUDZA

Tym razem kierunek Rudza. W poszukiwaniu śladów dawnych historii ruszamy w zimny dzień. Moimi dzisiejszymi przewodnikami będą Terenia i Maciej Cimała. Ostatni rudzańscy rzemieślnicy. Spotykamy się w pracowni, w otoczeniu ruchomych czcionek, wielkich i mniejszych ksiąg i książek, starej prasy i akwarium z wielkimi rybami. Po chwili wyruszamy.

Stoimy pod Kościołem Świętego Krzyża, zwanym potocznie przez mieszkańców Kościołem Trzech Krzyży, obok skrzyżowania, którego drogi prowadziły wzdłuż dzisiejszej



Saybusch — Żywiec.

Hell. Kreuzkirche — kościół s/w. Krzyża.



ul. Batorego na Morawy, w kierunku Rynku na Węgry, albo ul. Świętokrzyską na Oświęcim, stolicę tego regionu w czasie tworzenia się miasta i Rudzy właśnie.

- Tu przypuszczam, zaczęła się historia tej osady – na skrzyżowaniu szlaków. Jako pierwszy powstał Kościół, i wokół niego ta osada, prawdopodobnie górnicza, jeśli Augustin, ksiądz Augustin miał rację. Jeśli rodzina Turzonów

się tu osiedliła, to właśnie w okolicach tego kościoła. I od tego zaczynał się Plac Świętokrzyski, czyli dzisiejsza ulica Świętokrzyska – była dawniej placem, od którego to wszystko się zaczęło.

Ruszamy w stronę placu i starej pompy. A w zasadzie tego, co z niej pozostało. Dawniej stała tutaj studnia drewniana z kołowrotem. Dawniej też na Rudzy było kilka takich studni, stanowiących miejsce spotkań – ta i jeszcze dwie na ul. 3-go Maja. Terenia wspomina, że na ławeczkach wokół studni bardzo fajnie rozwijało się życie



towarzyskie młodzieży. I ze towarzyszył temu podział na tych z Brackiej i Rudzaków. Bo choć Bracka to też oczywiście Rudza, ale – jak zostało wyjaśnione – mniej ortodoksyjna. Ponoć dawni mieszkańcy przemieszczając się po okolicznych uliczkach mówili, że „idą na drugą rudzę” przechodząc z placu Świętokrzyskiego na plac 3-go Maja.

Taka historia drewnianych domów i ich mieszkańców, i czasów, gdy konie, krowy, owce chodziły tu po ulicy, kończy się w zasadzie wraz z końcem wojny. Bo teren ten mocno ucierpiał podczas wyzwania, katusze zrobiły swoje, co było drewniane – spłonęło. Obok kościoła na placu Świętokrzyskim stoi jeszcze budynek pierwszej



szkoły, parterowy, z charakterystycznymi wnękami okiennymi. Zasiadamy na ławeczce obok pompy i rozmawiamy o tym, co jest i o tym, co było.

Maciej Cimała to jeden z ostatnich rudzańskich rzemieślników. Obok Złotniczki i Kominiarza. Prowadzi Pracownię Introligatorską w budynku dawnej Wikarówki, dziś na ul. 3-go Maja 14. Budynek powstał w roku 1909 jako Dom Księży Kanoników Regularnych św. Augustyna. I sąsiedztwo ma niebyłe – z jednej strony Kościół

Św. Krzyża, z drugiej – siedziba żywieckiego PTTK.

- Jak to było? Na Rudzy Pan się wziął skąd?



- Gdy ożeniłem się z Terenią, to sprowadziłem się wówczas na Rudzę. Jestem z Osiedla....
- Ponoć z Browaru, z Pawlusia!
- Kiedy się urodziłem rodzice zajmowali mieszkanie w Browarze. Jednak po 2 latach przeprowadziliśmy się na Osiedle Młodych.
- A czy w opinii mieszkańców Rudzy, ale nie tych którzy przeprowadzili się tutaj 2 lata temu, lecz tych którzy pojawili się tutaj z górotworem, to Wy jesteście Rudzaninami? Rudzakami? A może Rudzanami?
- To są w większości ludzie bardzo uprzejmi, więc nawet jeśli nie – to nikt nam wprost tego nie powie. Choć kiedy przyjął nas do grona Rudzaków jeden z najbardziej zasadniczych w tych sprawach mieszkańców, to było to bardzo znaczące.

Choć wszystko się zmienia. Ludzie odchodzą, inni się pojawiają. Terenia przytacza konstatację jednego z rodowitych mieszkańców Rudzy, niejakiego Rafała, który stwierdził czas jakiś temu, że w zasadzie w ogóle nie zna już tutaj ludzi.

Kontynuujemy spacer. Rudza czyli gdzie?

Okazuje się, że Rynek to już nie Rudza. Ulica Batorego, Sobieskiego,

Zielona i do ulicy Żeromskiego. Kto wie, czy okolice ul. Żeromskiego to nie dawna Rudza Gładka – być może, bo nikt nie wie, gdzie to było. Tam prawdopodobnie był jakiś cmentarz



żydowski. Przy budowie basenu również wyłoniły się fragmenty macew. W każdym razie tam też była Rudza – bo było to mieszkańców Rudzy, ale faktycznie tam były ich pola. I tzw. Łęgi. Więc nikt tego za Rudzę nie uznaje. Dalej granicą jest Aleja Wolności, gdzie dawniej stały stodoły rudzańskie, i planty założone przez Niemców w czasie wojny



zadziwiające jest to, że jesteśmy w zasadzie w centrum miasta, ale trochę jakby na wsi, na uboczu. Dawniej ulice prowadziły w pola, teraz do jeziora. Jedna z ostatnich stodoł stała tam, gdzie dziś rondo. Terenia wspomina, że to był magazyn mebli czy elementów drewnianych – a sama stodoła budziła w dzieciach strach. Jedna z ostatnich stodoł rudzańskich. I wtedy też chodziło się na szczaw. Inna jest ta Rudza niż ta, którą pamiętamy z dzieciństwa.

Co to zatem jest Rudza? Poza tym, że jest cały czas obecna jako nazwa, to chyba już dziś bardziej imaginacja niż realna przestrzeń? Choć Mieszkańcy są zapewne w stanie opowiedzieć, oddać wszystko to co w niej głęboko tkwi. Ale czy da się to zobaczyć?

- W zasadzie – mówi Maciej - poza kościołem Świętego Krzyża i poza układem ulic 3-go Maja i Świętokrzyskiej, tym prawnym



(dziś to skwer Żołnierzy NSZ). I znów jesteśmy na Batorego. Czyli Rudzę można objechać dookoła. Mieszkańcy grali w piłkę nożną na boisku założonego w 1910 TS „Koszarawa”. I do dziś na mecze chodzą Dziadkowie z wnukami. Dziadkowie którzy dawniej tutaj grali w piłkę właśnie. Ot, jak choćby zmarły dwa lata temu sąsiad moich dzisiejszych Przewodników – Pan Jasiu. On odkąd chyba tylko zaczął chodzić, to pierwsze kroki na boisko. Opowieść Tereni uzupełnia Maciej:
- Tak, i On w tym klubie grał, i opowiadał, że nieraz Matka musiała go przeganiać z meczu do szkoły. I oni właśnie później przyprowadzali tutaj swoje wnuki. I w odróżnieniu od innych klubów, tutaj są tacy właśnie kibice -spokojni, czerpiący przyjemność z emocji (wyłącznie) sportowych.
Co trzeba koniecznie zobaczyć na Rudzy?
Kościół Świętego Krzyża. Bo jest zabytkowy, stary. Najstarszy. Spacer bocznymi uliczkami. Bo

szlakiem łączącym Morawy, Węgry i Oświęcim, to w zasadzie niewiele już zostało, poza tym co w pamięci i na zdjęciach.

Jednak sama pracownia doskonale wpasuje się w tą zawieszoną pamięć o Rudzy, w historię, która być może już dawno wybrzmiała, ale gdzieś tam jeszcze jest widoczna. Bo nie dość,

ze pracownia sama w sobie jest pracownią rzemieślniczą, to jeszcze mieści się w otulinie kościoła, a sam wystrój tej pracowni jest bardzo retro. Skąd pomysł na tę branżę?

- A to w zasadzie moi Rodzice byli introligatorami.

- Oboje?

- Tak. Najpierw w Spółdzielni Żywcanka, a potem, w latach 90-tych, kiedy już można było, to przejęli ten zakład. A my – wskazując na siebie i Terenię -to jakoś tak siłą rozpędu....

- Książki mają to do siebie, że są bardzo wciągające. Nie

tylko podczas czytania. Ale również trudno jakkolwiek wyrzucić, nawet gdy się rozsypie.

- Tak.

- I do was się trafia z książkami też trudnymi. Bo to nie zawsze jest tylko potrzeba, żeby skleić czy zszyć.

- No tak. Różnie bywa. Mamy takie książki, nawet teraz mam, takie że aż się boję za nie zabrać, bo nie wiem, od której strony do nich podejść. Żeby dobrze naprawić książkę trzeba ją rozłożyć do pojedynczych kartek, pozbawionych starego kleju i pozostałości po poprzednim szyciu. Jeśli ktoś próbuje sam naprawiać stułecioletnią książkę, nie mając o tym pojęcia, najczęściej powoduje trudne do odwrócenia szkody. Ale bywają też tacy klienci,

którzy zaraz po kupnie książki do nas trafiają, żeby zmienić okładkę. Bo książka ma okładkę miękką albo są klejone, a oni z doświadczenia wiedzą, że ta książka nie ma szans przeżyć czytania.

Idziemy. Towarzyszy nam dźwięk piły, głośny i powtarzający się. Choć jest zimno, czuć zbliżającą się wiosnę. A skoro tak – należy się przygotować. Kontynuujemy naszą rozmowę o książkach.

- A to że książka jest specyficzna, to doskonale dziś widać, gdy w zasadzie książka jest już zbędna, można czytać na czytnikach, e-booki, czy prosto z internetu, a mimo to nadal są klienci, które te książki przynoszą. Chcą mieć na papierze.

- A takie najbardziej niezwykle historie związane z książkami? Coś się wydarzyło, albo w nich znalazło, coś z nich wypadło?

- Znaleźliśmy kiedyś w książce bilet do Stalinogrodu –



zaśmialiśmy się wspólnie z tego faktu.

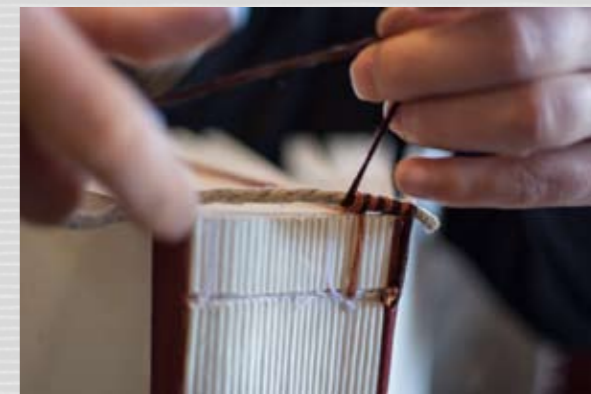
- W jakiej książce? Pamiętacie?

- Czasopismo „Morze”? – sugeruje Terenia.

- Tak. Jakieś stare czasopismo. A kiedyś jeszcze, a’propos ciekawostek które wyjąłem z książki, to „Przyjaciółki” z lat 70-tych były tak dziwnie wybrzuszone. Po otwarciu okazało się, że kartki są zatuszczone. Jak doszliśmy do sedna, to okazało się, że w środku był tort. Ktoś wsadził tam kawałek tortu i zamknął. Oczywiście 20-30 lat temu.

- A najstarsza książka?

- Nie było jakichś bardzo starych. Koniec XVIII wieku, tysiąc siedemset dziewięćdziesiąt coś... Ale to nie była książka, to były księgi parafialne.



Zanim się rozstaniemy, napotykamy jeszcze rudzańskie kuriozum – wielką błękitną kotwicę. Pytam, mocno zdziwiona, skąd się wzięła? Czy ktoś ją zgubił? Noe? Okazuje się, że nie – jest tu ulokowana celowo, i mocno wbita w ziemię – stoi bowiem przed budynkiem RGZW. Metalowy, ruchomy element kotwicy był za czasów dzieciństwa Tereni głównym elementem irytowania sąsiadek. Waliło się tym oto kółkiem w kotwicę, czekało chwilę, i w nogi! Bo na reakcję nie trzeba było długo czekać. Taka oto zakotwiona kotwica. Może to jednak ma sens? Żeby to zrozumieć, trzeba zagłębić się w Rudzę, obejrzeć zabytkowe budynki przedwojennej Kasy Chorych i „Sokoła”, a zaraz obok zabudowania starego tartaku. Tartaku wybudowanego przez Igancego Seroga, żyda z Zabłocia, leżącego po lewej stronie rzeki Soły – ale to już zupełnie inna historia....

RĘDZINA - OCZKÓW - ZADZIELE

Byliście kiedyś w 6 miejscach na raz?

Ktoś powie zapewne, że to niemożliwe. Nie? No to zapraszamy. Trzeba kupić bilet autobusowy za 2,80 zł - „normalny”, i wsiąść do autobusu linii nr 4, 16 albo 17. My wybrałyśmy 17 w pewną pozornie zwyczajną niedzielę i Macieja Pezdka na przewodnika.

Wysiadamy z autobusu linii nr 17 i wysiadamy na przystanku Zadziele obok dawnego posterunku Policji. Czeka na nas nasz dzisiejszy przewodnik – tutejszy od pokoleń. Za tydzień będzie Wigilia. Nie ma śniegu, ludzi też niewielu – mróz robi swoje.

Stojąc jeszcze na przystanku ustalamy, że jesteśmy na Rędzinie. Czyli gdzie? To pytanie będzie nam towarzyszyło podczas całego dzisiejszego spaceru...

„Rędzina to przysiółek Moszczanicy. Jesteśmy teraz na Rędzinie. Za nami jest Młyn” – informuje Maciej. Kierujemy się zatem najpierw w stronę Młyna – idziemy wzdłuż głównej drogi w stronę Żywca, po jej lewej stronie. Kilka kroków, i skręcamy w lewo – na ulicę Młyn. Młyn jest Moszczanicą. A Moszczanica to dzisiejszy Żywiec.

Nasz przewodnik wyjaśnia: „Tak, żeby za dużo nie mieszać, próbowałem z Tatą ustalić, gdzie się zaczynała Moszczanica, a gdzie było Zadziele. I to są chyba Działy Zadzielskie w okolicy „Rumcajsa” (ośrodek wypoczynkowy).” Pozornie proste. Ale nie do końca.

Rozmawiając wchodzimy w głąb Młyna – poprzecinane-go wąskimi, łukowatymi uliczkami. My wybrałyśmy tę, która sama się nasuwała – ulicę Młyn, licząc że go znajdziemy. To miejsce rowerowych wypraw z okresu dzieciństwa okolicznych mieszkańców. Wędrując pośród zwyczajnych wyda wa ło by się budynków



spotykamy dom wyłożony talerzami. Jak się okazuje, każdy z nas pamięta taką zastawę lub jej części z własnej przeszłości. Brązowe talerze o płaskim spodzie, kubki bez ucha i talerzyki deserowe z kwiatkami: białymi, w odcieniach brązu i zieleni – albo zupełnie bez niczego – ale obowiązkowo z ciemną linią wzdłuż górnej krawędzi. Skąd



ta ceramika? Wytwórnia musiała być gdzieś blisko. Nasz 12-letni towarzysz kwituje tą elewację stwierdzeniem: „bardzo ładna jest ta ściana”.

Szukamy Młyna.

Rędzina jest ostatnią częścią Moszczanicy i styka się z Oczkowem. Znajdował się tutaj posterunek policji, i ponoć znów będzie – posterunek Policji w Gilowicach...

Wybór Młyna na miejsce dziecięcych zabaw był nieprzypadkowy – niewielka ilość samochodów (w przeciwieństwie do bardzo ruchliwej drogi wiodącej na Kraków) pozwalała na swobodne rowerowe manewry. Latem dzieciaki z tych terenów spędzały czas kąpiąc się w Łękawce.

„Pan w zasadzie skąd jest? Poza tym, że z Żywca?” pytam naszego dzisiejszego przewodnika.

- Urodziłem się w Żywcu. Natomiast moi przodkowie są z Rędziny i Moszczanicy, no i Zadziela.

- A teraz mieszkacie gdzie?

- W Żywcu.

- No tak – to jak my wszyscy, bo Żywiec jest miastem jednolitym, tu nie ma dzielnic. Ale symbolicznie to mieszkacie gdzie?



- Hmmmm...

W Moszczanicy.

- W Moszczanicy. A jak tłumaczycie znajomym, jak ktoś ma do Was dotrzeć, to mieszkacie gdzie?

- Nad jeziorem.

Zaśmialiśmy się wszyscy



– bo przy tej mocno skomplikowanej, a równocześnie niewielkiej przestrzeni pełnej wielu nazw, miejsc i granic pojawienie się jeszcze jednej, stosunkowo nowej – to dodatkowy element układanki. Układanki pozornie zagmatwanej, bo dla mieszkańców nie ma w tym zapewne nic skomplikowanego. My jednak brniemy dalej w te wciągające zależności.

- Ale nad jeziorem w Oczkowie, nad jeziorem na Rędzinie, czy gdzie?
- Zastanawiam się, jak to wytłumaczyć. O! Używam jeszcze nazwy GS – z racji tego sklepu, który mijaliśmy obok przystanku.
- To będzie bardzo skomplikowane, by wyjaśnić, gdzie tutaj co jest.
- Tak.

Opuszczamy Młyn. Pomimo prób ustalenia, gdzie znajduje się młyn w Młynie, wychodzimy jedynie z kilkoma przypuszczeniami. Napotkani mieszkańcy również nie są w stanie pomóc. Wracamy do głównej drogi i ruszamy w kierunku „na Kraków”. Po prawej stronie znajduje się Czarny Potok, a obok niego Kaplica, należąca do



parafii w Moszczanicy. Na krzyżu obok kaplicy widnieje napis: Kaplica Matki Bożej Różańcowej w Żywcu-Rędzinie. Do kaplicy prowadzi nas ulica, której patronem jest Tadeusz Bórkomorowski. Przed kaplicą można obejrzeć figurę Jezusa, w układzie zwanym potocznie przez mieszkańców „upadek”. Rozmawiamy, próbuję znów ogarnąć tę złożoną strukturę nazw, miejsc i przestrzeni. Na razie bezskutecznie.

Ruszamy dalej. wąskimi uliczkami trafiamy na drugą stronę ruchliwej drogi, i docieramy nad jezioro. Jezioro, które w zasadzie nie jest jeziorem, a sztucznie stworzonym w latach 60-tych zbiornikiem tworzącym kaskadę rzeki Soły. Aby zbiornik powstał, konieczne było zalanie kilku wsi – w tym wspomnianego tutaj Zadziewa, jak również Tresnej, Zarzecza i Starego Żywca. Mieszkańcy tych miejscowości przenieśli swoje domostwa między innymi na tereny okalające jezioro, a nazwy do dziś funkcjonują w pamięci i języku codziennej topografii okolicy. Grudniowe przedpołudnie nad Jeziorem Żywieckim tego dnia jest mroźne. Nie odstrasza to jednak ani wędkarzy, ani spacerowiczów. Trudno się dziwić – tam jest bardzo, bardzo ładnie. I jeszcze raz bardzo. Wąskie ścieżki pozwalają na spacer, ale również wyprawę rowerową. Natura broni się sama – zresztą w takiej konfiguracji, gdzie tafla wody otoczona jest górami i





lasem, trudno się nie zachwycić. Wędrujemy, Żywiec zostawiając za sobą.



Mijamy kolejnego mieszkańca, pytając, gdzie jesteśmy. Czy w Oczkowie, czy może jednak w Zadzielu? A może na Rędzinie. Wyjaśnia to dość lakonicznie, uznając chyba że to oczywiste. Potok, kamień, kilka nazwisk i już. Przechodzimy przez kładkę przerzuconą nad kolejnym potokiem, przecinamy znów ruchliwą drogę na Kraków i docieramy do ostatniego punktu naszej dzisiejszej wyprawy: napotykamy stary, drewniany dom na kamiennej podmurówce, pokryty cementową dachówką, ulokowany nad potokiem w niszy. Tajemnice tego budynku zna ponoć lokalna Ochotnicza Straż Pożarna. Ale to już zupełnie inna opowieść. Żegnamy się z naszym przewodnikiem.

Kilkadziesiąt minut do przyjazdu autobusu spędzamy nad stawami zlokalizowanymi

No właśnie. Pytamy więc właściciela:

- Gdzie jesteśmy?

Odpowiada stanowczo:

- w Zadzielu!

Ufff.... Wreszcie coś nieskomplikowane-



go. Piękny, stary murowany budynek obok stawów wyraźnie daje nam znać, że ma jednak jakąś tajemnicę, jakąś swoją historię, i to zapewne niezwykłą. Rozmawiam z kilkoma jeszcze osobami – część jest przyjezdna, zaopatruje się na nadchodzącą Wigilię, więc przyjechali po



prostu po ryby „na stawy”.

Chwilę później wędkarz z okolicy tłumaczy, że jesteśmy oczywiście na Rędzinie...



Z nadzieją pytam, czy to też Zadziele? Ależ skąd! Ktoś wspomina jeszcze mimochodem o dawnych żydowskich mieszkańcach - ale czego? Gdzie? Nie udało się ustalić. Chcemy jeszcze dążyć temat, ale niestety mróz wygrywa. Wsiadamy do autobusu nr 17 na przystanku Zadziele



– Skrzyżowanie, i ruszamy do siebie: na Rudzę i do Zabłocia. Z Żywca do Żywca. Wracam do domu i myślę o tym. Może miejsce dziedziczy się tak, jak nazwisko i pochodzenie? Dla jednych Rędzina, dla innych Młyn, Oczków, Moszczanica, Zadziele, Żywiec. I wszystko się łączy. Niezwykłe? Trzeba to koniecznie zobaczyć.



MOSZCZANICA



Historia tej osady jest równie długa jak Żywca i Zabłocia. Autobusem linii nr 7 jedziemy najpierw Pod Górą, potem przez Górę Burgałowską i chwilę później wjeżdżamy do Moszczanicy – po lewej stronie mijając Cmentarz Żołnierzy Radzieckich, a z kolejnym zakrętem – zabytkowy budynek Zespołu Szkół Agrotechnicznych i Ogólnokształcących w Żywcu-Moszczanicy. Szkoła na tyle mocno wpisuje się w lokalny krajobraz, że często uczniowie pytani: do jakiej chodzisz szkoły”, albo „z jakiej szkoły jesteś” odpowiadają: „z Moszczanicy”. I wszystko wiadomo. Dlatego właśnie przewodnikiem po Moszczanicy zostaną Uczennice



i Uczniowie tej szkoły. Pośredniczką między „Mozaiką” a Uczennicami i Uczniami była Joanna Paciecha – germanistka z Moszczanicy oczywiście.

Przesłałam Joannie 5 pytań, prosząc, by chętne osoby wypowiedziały się anonimowo. Reakcja była nadspodziewanie duża. Super! Ankiety trafiły do Kina Janosik, a dokładnie do Ani Jafernisk,



a następnie do mnie. Był kwietniowy, słoneczny (wreszcie!!!) piątek. Czego się dowiedziałam od Młodzieży? Całkiem sporo...

Pytanie 1 – lokalizujące
z czym kojarzy się nazwa: „Moszczanica”?

“O ile mnie pamięć nie myli nazwa pochodzi od licznych mostów” – pisze jedna z Uczennic. “Ze spokojnym miejscem” – pisze ktoś inny. “Ze szkołą, z końmi, z klubem strzeleckim” – padają najczęstsze odpowiedzi. Oczywiście z Pałacem Kępińskich – w którym przebywał Józef Piłsudski w 1934 roku. Co jeszcze? “Piękny krajobraz, miejsce, gdzie można odpocząć, cisza i spokój i piękne drzewa. I ludzie: przyjaciele, dobrzy znajomi, fajne dziewczyny, dobra zabawa. I... brak chodnika.”

Skojarzenia bywają też nieco inne – jeden z Uczniów pisze: „nazwa Moszczanica kojarzy mi się z „dżdżownica” oraz z „akcja ratownicza”. Dla innego ucznia skojarzenie jest jedno – jajecznicza.

Powinni zdecydowanie polubić Derridę. Bo On zapewne byłby zachwycony.



Pytanie 2 - refleksyjne

Pamiętam, że gdy byłam/byłem tu pierwszy raz, to.....



„Pamiętam jak na dniach otwartych z grupką znajomych postanowiliśmy wracać z Moszczanicy bez pytania o drogę, a byliśmy tu pierwszy raz. Stojąc przed bramą naradziliśmy się, że idziemy w lewo... szliśmy 45 minut. Z jednej strony drogi na drugą, śmiejąc się i opowiadając o wrażeniach i planach na przyszłość. Po dojściu do głównej ulicy wiodącej z Żywca na Suchą kolega ją rozpoznał. Chce podkreślić, że żadne z nas nie wyjeżdżało za często spoza naszej miejscowości, więc był to pewien wyczyn. Oczywiście rozpiski autobusów nie było, ale po pół godzinie zobaczyliśmy znajome logo Janowca i



wróciliśmy do domu zmęczeni upałem i z pierwszym wspomnieniem ze szkoły”.

Co pamiętają inni? „piękne widoki”, „piękną okolicę, jezioro, las, konie”. „Pamiętam, że gdy byłem tu pierwszy raz, to byłem zachwycony widokiem gór”. „Widok gór z dziedzińca szkoły” – dodaje kolejny uczeń. Jeszcze inna Uczennica pisze: „A gdy wjechałam pierwszy raz do szkoły zobaczyłam piękne konie a na nich uczniów tej szkoły – i oczarowała mnie ta Moszczanica”.



ramiona, cały byłem spalony. Wiedziałem, że będę uwielbiał to miejsce...”.

I kolejne wspomnienie: „ogrom ludzi, nowe rzeczy, nowi nauczyciele. To wszystko było super. ... A potem mandat w MZK”.



O tym, że architektura jest tu niebanalna, mówią sami uczniowie. „Spodobał mi się budynek szkoły” – pisze kilka osób. I wcale się nie dziwimy. „W sumie spoko miejsce, ale daleko od centrum i nie ma tu zasięgu! Fajne są tu drzewa i cisza”. Ta odległość od centrum pojawiać się będzie jeszcze kilkakrotnie – i w zasadzie trudno stwierdzić, czy wada to, czy jednak zaleta.

Co jeszcze? „Ciepło, duszno, miałem spalone





Pytanie 3 - kierunkowskazy
*Co koniecznie trzeba zobaczyć
w Moszczanicy?*

Myślę, że przede wszystkim warto przejść się na nogach przez Moszczanicę, krajobraz jest zachwycający, zwłaszcza wiosną i latem kiedy można podkraść jabłka z drzew mieszkańcom.

A gdyby tak bez wyjaśniania? Oto miejsca, które należy znaleźć. Dlaczego? Bo wskazują je nasi przewodnicy. Szukajcie zatem!

„Teren szkoły i cmentarz żołnierzy radzieckich”

„Trzeba koniecznie zobaczyć krajobraz i stadninę koni”

Na pewno Pałacyk, w którym przebywał Józef Piłsudski

„Pomnik w środku lasu”

„Strzelnicę”

„Stawy”

„Małpi gaj”

„Kapliczkę przy stawie na drodze do Rychwałdu”

„krajobraz, pole, konie, Dworek

Kępińskich”

„Obraz Józefa Piłsudskiego w naszej bursie”

„W Moszczanicy trzeba zobaczyć przepiękny krajobraz, ponieważ jego widok pozostaje w pamięci na długo”

„Las”

„Stajnie przy ZSAiO, bo to miejsce z pasją, rozwija ludzi” – pisze jedna z Uczennic.



Pytanie 4 – wspólna podróż

Gdybyś mogła/mógł zabrać tutaj kogoś – na spacer, na wagary, na wycieczkę – to dokąd?

„Nie chodzę na wagary XD Co do wycieczki, to mam świetne wspomnienia z praktyk, więc jakiś



biwak w lesie moszczanickim byłby super pomysłem.”

Wypowiedzi uczniów zarysowują bardzo wyraźnie ścieżki, trasy, trajektorie. Trzeba zatem koniecznie stanąć na Mostku na Rychwałd. Co zresztą nie powinno dziwić. Przecież to Moszczanica – mosty są tu niemal najważniejsze. Niemal, bo ważne są również „lasy – lasy i stawy”. Trzeba koniecznie iść również „nad jezioro, do szkolnej stajni w godzinach na jazdę konną”.

Wątek koni i przyrody staje się tu wręcz podstawowy. A w jednej kwestii zgadzają się wszyscy: „do lasu...”. Co jeszcze? „Sklepik u Żuni” – pojawia się kilkakrotnie. Oznacza to, że koniecznie trzeba to miejsce zidentyfikować. I jeszcze „na strzelnicę”. „Nad staw na drodze do Rychwałdu”. „Na płyty, a potem w las na strzelnicę”. „Spacer po okolicy, obok stadniny”.

Jeden z uczniów pisze: „gdybym miał gdzieś tu pójść, to poszedłbym gdziekolwiek, ponieważ miejsce jest bardzo ładne”.

Gdzie zatem iść? Od czego zacząć? Może po prostu – jak powiedział jeden z uczniów – „w las”...

Pytanie 5: ludzie, ludzie

Jakie nazwiska, osoby, legendy związane z Moszczanicą znasz?

„Oczywiście Józef Piłsudski. Oprócz niego wydaje mi się, że Komorowski był właścicielem tych okolic z czasów kiedy pojawiają się pierwsze podania o Moszczanicę”. Faktycznie, obecność Marszałka Piłsudskiego rok przed śmiercią w dworku Kępińskich trwale zaznaczyła się w mentalności ludzi. Mieszkańcy często mówią: „dworek Piłsudskiego”. No i oczywiście „Państwo Kępińscy”.

Ale to nie wszystko. Co mówią jeszcze nasi przewodnicy? „Po tej szkole jeździł kiedyś kiedyś Ursus 914”. Nie wiem, czy to fakt, czy prowokacja, ale brzmi nieźle.

I jeszcze wymienieni imiennie w ankietach „Karol Lach, Gachu, Żyglinski, Jakub Hankus” – których z tego miejsca serdecznie pozdrawiamy!

Nasze Przewodniczki i Przewodnicy są w większości przyjezdni – nie mieszkają w Moszczanicy, ale są tam niemal codziennie. Skąd są? Czy będą wracać i ruszać „w las” lub

„nad stawy w drodze na Rychwałd” po zakończeniu szkoły? To już zupełnie inna historia.....



KOCURÓW

Do Kocurowa dotarliśmy w pewien kwietniowy wieczór dzięki zaprzyjaźnionej z nami Bogusi Blachut. Z naszą dzisiejszą przewodniczką spotykamy się na ulicy Żeromskiego. Chwilę po godzinie osiemnastej wyruszamy. Mijamy osiedle, za cmentarzem Przemienienia jest rozjazd: na wprost wiedzie droga do Moszczanicy, a w prawo – do Kocurowa właśnie. Jedziemy

zatem ulicą Wichrową. Przed nami

niezwykłe spotkanie z dwiema kobietami: Grażyną Stasicą, klucznicą starej kaplicy, i Katarzyną Stokłosą – de domo również Stasicą, która pokazała nam każdy zakątek tego miejsca. Obie opowiadały tak, że żal było się rozstać.



KOCURÓW – CZYLI GDZIE?

Rozmawiając z mieszkańcami, przekonałam się, że część osób mówi Koczurów, a część Kocurów. Jakiej formy używają tutejsi mieszkańcy?

- Kocurów – zdecydowanie odpowiada Pani Grażyna – Kocurów się mówi.

- Jesteśmy zatem w Kocurowie – czyli gdzie?

- Zawsze to należało do Żywca. Kocurów zaczyna się od części ulicy Wichrowej, graniczy z Górą Burgałowską, Moszczanicą, na dole jest Folwark, a dalej Koleby i Sporysz. Można też przejść przez Łyskę do Rychwałdku i Rychwałdu. Władek Wrężel miał kiedyś, kiedy się



gospodarzyło, stodołę. Tę stodołę miał w Kocurowie, a po drugiej strony drogi to były już Koleby. Tak to było podzielone.

- A jak wyglądał Kocurów dawniej?

- Dużo rolników tu było. Ale teraz już tu prawie nikt nie gospodarzy.... Jak jechałyście od Żywca, to tam nad dolinkami jest Księża Pole i las. Las jest parafii z Zabłocia, a dalej od górki – pola parafii z Żywca.

KAPLICE KOCUROWSKIE

- Czy w Kocurowie był kościół?

- Tu jest kaplica pod wezwaniem Matki Boskiej Nieustającej Pomocy. Tutaj zaraz jest stara kapliczka – mogę pokazać i otworzyć, bo mam klucze.

- To jest zabytek – dodaje Pani Katarzyna.

- Tak. I tu się dawniej odprawiały msze. A teraz – już 21 lat – jest, jak zrobili nową kaplicę. Też pod wezwaniem Matki Boskiej Nieustającej Pomocy. Trochę dalej stąd.

- A tę starą kaplicę Panie pamiętacie od zawsze?

- Tak. Nie pamiętam dokładnie, czy ona powstała w 36 roku? – zastanawia się głośno Pani Grażyna...

- Ja ją pamiętam od urodzenia. Zawsze tu była – dodaje Pani Katarzyna.

- W każdym razie wybudowali ją przed wojną – kontuuje Pani Grażyna. Pierwsze tu była dzwonnica. Dzwonili, gdy ktoś umarł, gdy był pożar. a potem to rozbudowali. Początkowo się tu nie odprawiało. Kiedy zmieniły się przepisy kościelne, to pierwsze msza była raz w



miesiącu, a później co niedzielę. A że to była malutka kapliczka – to często żeśmy stali na polu.

- Tak, pod kasztanami...

- I ksiądz przyjeżdżał z Żywca. Teraz msza jest w tej nowej – raz w tygodniu się odprawia. I nabożeństwa majowe, różańcowe, czerwcowe....

- A cmentarz?

- Na Przemienienia. Kiedyś to się chodziło na pogrzeby na nogach. I kiedyś były karawany. Ale też jak umarł rolnik, gospodarz, to go wieźli na takiej furze – nie zawsze była bryczka.

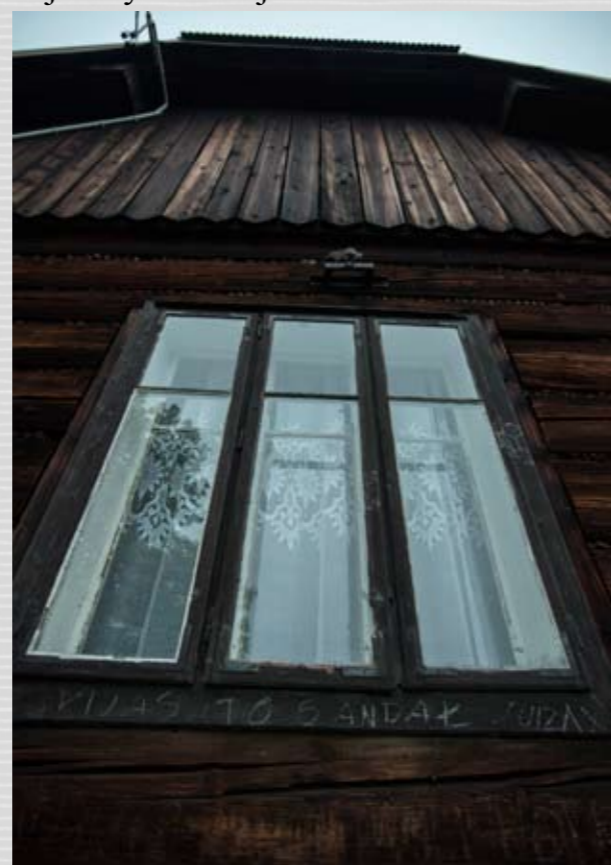


Wyścielali słomą świeżą i trumna na tym... I szedł śpiewok i śpiewoł. Zapowiadał, i ludzie za nim powtarzali. Bo takich żałobnych pieśni to się nie śpiewało na co dzień.

- Ja to pamiętam z dzieciństwa to: „już umarł, już nie żyje...” - wspomina pani Kasia.
- A mnie zostało w głowie: „tylko cztery deski, biała, licha szata...” – dodaje pani Grażyna. Dawniej był taki śpiewak – Micherda Franek, z Kocurowa spod Moszczanicy. To pamiętam... Teraz już się tak nie śpiewa.

SZKOŁA

- A do której szkoły chodzą dzieci z tego terenu?
- A różnie. Kiedyś chodziły do Koleb. A jeszcze dawniej... Ty też tutaj chodziłaś – mówi Pani Grażyna do Pani Kasi
- Tak. Do Kocurowa.
- Tu my mieli szkołę 4-klasową. Młodsze klasy się tutaj uczyły. Dzieci było mało, tak po siedem...
- opowiada Pani Grażyna
- I po dwie klasy się uczyły – uzupełnia Pani Kasia.
- Gdzie była ta szkoła?
- Pokażę wam – podjedziemy tam później.
- Tam jest teraz klub środowiskowy. Taki stary, drewniany budynek. Kiedyś tam była szkoła..
- Tak. To należało do Koła Gospodyń, to ludzie budowali. Jedni dali drzewo, inni prace... swoimi rękami budowali mieszkańcy
- Tak. Myśmy mieli jedną klasę, tak żeśmy się na zmiany uczyli. A obok była jakby sala gimnastyczna.
- A wieczorami taki klub młodzieżowy. Później tę klasę zamknęli i całość przeznaczono na działania społeczne. Przejęło to Koło Gospodyń. Teraz to stoi puste.



- Czy ta szkoła została zlikwidowana?
- Tak, ale wcześniej tu się chodziło 4 lata, a potem jedni do „3” do Sporysza – na przykład ja chodziłam do Koleb, pod Łyskę – dodaje Pani Kasia; a jeszcze inni chodzili do „5”.
- Czy pamiętacie Panie nazwiska nauczycieli z tamtego czasu?
- Był Józef Gąsiorek. On nas zaczął uczyć.... Potem Kazia Stokłosowa, a później była pani Koziolkowa.
- Tak. Gąsiorek był z Moszczanicy. To był taki nauczyciel, że wszystkich przedmiotów uczył przez 4 lata.
- To takie nauczanie początkowe. Jednego nauczyciela zawsze ta szkoła miała.
- A religia?
- Religię my mieli w kaplicy.
- W tej starszej?



- Tak. Przyjeżdżał ksiądz z Żywca, i wszystkie klasy tu miały religię.
- I tu cały czas przyjeżdżają księża z parafii z Żywca – Kocurów nie ma własnej parafii.

TRADYCJE

Na 27 czerwca Matki Bożej Nieustającej Pomocy jest odpust w Kaplicy - tu jest bardzo ładnie. Kiedyś, lata temu, przyjeżdżała



Orkiestra Dęta ze Śrubiarni. A teraz się staramy zawsze o kapelę góralską. Jest kapela góralska, jest procesja. Kiedyś to chodzili tutaj po drodze, a teraz to naokoło kaplicy. Wcześniej przy tej starej nie było miejsca.

W drugi dzień Zielonych Świątek, jak się paliło „Sobótki” - ogniska, to pochodnie robili. Pamiętam, bo mój Tata pracował w „Śrubiarni”. Pochodnia - to drążek – taki patyk, owinięty szmatami nasączonymi smarem – i z tym się latało. Tu po polach. Bo tu jak żeście jechały od Żywca, to nie było takiej drogi jak teraz jest. To była kamienista droga. I dzieci, młodzież, starsi nawet palili ognisko. Ale wcześniej, to dzieci nosiły drewno z lasu – od rana! A potem, wieczór, to się stawiało taki drag, i do tego się ustawiało to drzewo, a potem wieczór się to podpalało. I dzieci odpalały te pochodnie, o z tym dzieci leciały koło zboża. „Opol Boże moje zboże...” – i się niby okadziło. Opalało się zboże w Sobótkę.

„Opol Boże moje zboże, a sąsiadce nie – bo ona dużo zje!” - wspominały ze śmiechem nasze przewodniczki. I tak się paliło. I tak się ludzie spotykali – był zawsze akordeon, czasem gitara. I do północy się czasem siedziało.

Na Tomę się chodziło – 21 grudnia jest Tomasz. Tak to mówili, gdy przyjdzie do ciebie młody człowiek albo dziecko, albo chłop, to będziesz cały rok szczęśliwy. A jak przyszedł ktoś stary, kulawy – to ten rok taki był. I pamiętam jako dziecko to sąsiadki zawsze do mojej Mamy mówiły: „Maryśka, a poślijże tę Grażynę do nas po Tomie”. No



to Mama mnie budziła po 5- tej i rano leciałam, i mówiłam: „po słomie, tu Święty Toma, czy żeście są wszyscy w domu? Dejcie spyrki spod ogona i kołoca kęs”. No i poskakałam, poskakałam zawsze mi coś dali – jakiegoś ciasta czy – już nie pamiętam, jakie były wtedy pieniądze – czy piątke, czy dziesiątkę, w każdym razie metalowe. I tak chodziłam zawsze tutaj, żeby był dobry rok... - wspomina ze śmiechem Pani Grażyna.

ŹRÓDŁA

Tu nie było wody za bardzo. Więc chodziło się po wodę do 2 źródełek: „w Kasjerce” pod Danusią Maciejowską - to już Koleby. A drugie – „w potoku”. Mieszkańcy tam chodzili zimą i czyścili te źródelka, zrobili też takie obramowanie, żeby się łatwiej wodę czerpało. I jeszcze „pod Stasicami”. I stamtąd się nosiło wodę – chłopcy mieli taki drążek, na tym były sznurki, zawieszano się wiadra i tak się tę wodę nosiło na ramionach. Tu zawsze był problem z wodą.

- Czy tutaj były pola – nie lasy?

- Pola. Uprawiano się pszenicę, żyto i owies. Jęczmień to później dopiero nastał. Pamiętam – bo myśmy też gospodarzyli - że żyto specjalnie uprawiali na powrósła, żeby wiązać snopki. I potem w stodole, na gumnie – na klepisku, młócili cepami parę snopków, żeby zrobić te powrósła. Potem brało się furmana, przywozili te snopki ze zbożem, no i wszystko się to



kładło do tej stodoły. A potem przyjeżdżała młockarnia na plac. I młóciło się - czasami ze 4 godziny – no to przychodzili sąsiedzi, pomagali, wiązali... Od domu do domu jeździła ta młockarnia. Potem już była większa, to ustawiało się ją w jednym miejscu i tam się woziło to zboże. I tam się młóciło. Też to było fajne, bo tam się całymi nocami czasem młóciło. Stało się w tej kolejce długo, zależało, kiedy furman przyjechał.

- A czy mają tutaj ludzie poczucie, że mieszkają w Kocurowie? Czy na pytanie: gdzie mieszkasz, mówią, że w Kocurowie?

Tak, tak – potwierdzają obie Panie spokojnie.

LUDZIE I MIEJSCA – CZYLI KTÓREJ NA CHABADZISKO

Snuski, Chabadzisko, Pod Łyską, Rolanie, Do Kopca, Za Oklem I Stasicoki – bo tu co drugi dom to Stasicowie. Tu są trzy gałęzie Stasiców. I jeszcze Stokłosowie i Kubicowie pod Łyską.

SPOTKANIA, ŚLEDZIÓWKA I KWACKI

Co roku robimy opłatek – jako mieszkańcy. W klubie (starej szkole). Organizuje to Andrzej Maciejowski, a my mu pomagamy. Zawsze się coś składamy i podajemy jakąś kawę, ciasto, są występy zespołów ludowych. Przyjeżdżają księża. Zaraz po Nowym Roku, w karnawale. Jak się skończą występy zespołów, to włącza się jakąś muzykę i bawią się ludzie. Kiedyś było tu KGW. Teraz już nie ma – bo te Panie to są już staruszki. Pani Stecowa ma już po 90-ce, pani Mędralowa już po 80-ce. To były panie, które działały w Kole. Było ich więcej,



ale już tylko te dwie żyją.

W karnawale zawsze żeśmy robili jakąś zabawę np. Śledziówkę na Ostatki. To jest zabawa ostatkowa.

- Tak się nazywa? Śledziówka?

Tak. Dzień przed Środą Popielcową. Do północy ta zabawa jest. Mówi się, że to się tańczy na kwaczki. Panny tańczyły. Bo kiedyś u nas, jak się ziemniaki sadziło, to się sadziło też kwaczki.

Wie Pani, co to są kwaczki?

- Oczywiście. Brukiew.

- No właśnie. A u nas się mówi kwacek.

- Mało tego – ja to bardzo lubię. Ale teraz łatwiej jest kupić banany i pomarańcze. A brukwi nigdzie nie ma.

- No właśnie. I zawsze jak się szło na tę Śledziówkę, to mówili, że jak panny tańczą na tej

Śledziówce, to się kwaczki udadzą.

- „Pod kwacki” się tańczyło.

- Czy nadaj są te Śledziówki?

- Nie. Teraz już nie ma.

- Są jeszcze dożynki. Jest msza dożynkowa w nowej kaplicy, Gospodynie przychodzą z wieńcem dożynkowym. Przynosi się płody rolne: dynie, marchewki, ogórki – te wielkie, dorodne. Wieniec zawsze, no i chleb. Kiedyś piekliśmy sami chleb, teraz już nie.

CO DAWNIEJ JEDZONO

- Czy były tu piece chlebowe?

- Tak. Ludzie mieli. Wiem, że Lokcia miała...

- Lokcia?

- Leokadia. Pod Łyską miała piec. Piekla mi chleb na wesele – wspomina Pani Katarzyna.

- A moja Mama zawsze zarabiała ten chleb raz w tygodniu i szło się – takie były słomianki – i w tym niesło do piekarni. Zawsze my rano szli w czas – tam na Komorowskich, dawniej Nowotki. Albo do Gałuszki, albo do Molińskich – na Rynku.

- Tak się nosiło, w tych koszykach.

- I jak się to przyniosło, to piekarz wyrzucał to ciasto na blachę i do pieca wkładali. I takie wielkie bochenki chleba się przynosiło do domu. Za 2-3 godziny kazali przyjść po ten chleb, i przynosiło się z powrotem.

Prażuchy.

- Ja tego nie lubiłam – mówi Grażyna

- Ja uwielbiałam! – deklaruje Katarzyna.

- A jak to się robiło?

- Mama miała garnek - taki specjalny gliniany, prażyła tę mąkę na piecu, w tym glinianym garnku, to się prażyło, prażyło... I jak ta mąka już tak pachniała, jakby się przypaliło, to wtedy się to zalewało wrzącą słoną wodą. I jak się robiła już taka gęsta klucha, to się jadło. Albo się do tego trochę masła topiło i polało się te prażuchy masłem, a potem wlewało się do tego słodkie mleko albo kwaśne mleko – zależy, co kto lubi. A przy świniobiciu to się skwarki do tego topiło – i tak się jadło.

- No i placki ziemniaczane z blachy – to się naskrobało ziemniaków, wycisło tę tarciznę, no i piekło się na blasze te placki. Mama zawsze smarowała masłem i układała jedno na drugie, a potem jak Tata przychodził z roboty, to myśmy jedli. To się zwijało i tak się jadło.

- Wodzionka. Zupa kminkowa z chlebem suchym. Najwięcej na śniadanie się to jadło. Jak już tak koniec tygodnia był, i stary chleb, to gotowało się wodzionkę. Kroiło się w kostkę taki stary chleb i zupę kminkową się gotowało. To się wodzionka nazywało, bo to była woda z kminkiem. No czasem się zasmażkę zrobiło – czy na skwarkach czy na margarynie.

TAJEMNICE 4 SIÓSTR

Ja pamiętam u ciotek – miałam takie stare ciotki pod samą Łyską, stare panny, mój dziadek im wystawił dom drewniany, miały krowę albo dwie i pole. I z tego żyły. Ich tam było – już nie umiem powiedzieć ile, cztery czy pięć....

- Tych Ciotek?!

- Tak.

- I wszystkie stare panny?!

- Tak.

- Siostry?

- Siostry. I tylko jedna moja Babcia była mężatką. Mieszkała po drugiej stronie drogi. A one mieszały razem – to była jedna izba i sień. Myśmy tam uciekali na wspaniałe jedzenie – chleb z pieca był, one nigdzie nie nosiły, same piekły, masło zrobione prosto z maśniczki, do popicia maślonka, kapusta z pola zagęszczona ziemniakiem...

- Ziemniakiem?

- Tak, ziemniakiem się zagęszcza kapustę. Ja tak często robię na Wigilię.

- Ale tartym czy gotowanym?

- Daje się jednego gotowanego i jednego. Ja do dziś robię tak na Wigilię. Miesza się to i jest to bardzo puszcze – takie płone, jałowe.

- Czy to ma być słodka czy kiszona kapusta?

- Słodką, surową.

- A co to znaczy „płone”?

- Nieomaszczone, nieokraszone, dietetyczne – zaśmiały się obie Panie.

Nie wytrzymałam. Historia Ciotek utkwiała mi głęboko w głowie. Dziś samotność może być wyborem, dawniej, zwłaszcza kobiecie – musiało być ciężko. Ale cztery albo pięć siostr? I całe życie razem, w jednej izbie, z jednego domu, na



jednym polu – żyjących tym samym niezmiennie wspólnym rytmem? To musiało być trudne. Jakie myśli im towarzyszyły?

- A dlaczego te Ciotki nie powychodziły za mąż?

- A kto to wie?

- I one były w zbliżonym wieku?

- Tak. Pewnie tak. Bo kiedyś jak ludzie dzieci mieli to rok po roku albo co dwa lata się rodziły.

- A jak one funkcjonowały?

- Bardzo dobrze funkcjonowały. Po drugiej stronie drogi mieszkał dziadek...

- To był ich szwagier?

- Tak, szwagier. I pomagał. A one same w polu, uprawiały pole. Tak dawniej było – chłop szedł do roboty, gdzieś tam, np. do Śrubarni, a kobiety zostawały w domu, nie pracowały i uprawiały pole. Mleko się oddawało do mleczarni, jeździł wozak i zbierał te kanki. Tak Babcie nasze żyły. *Rozmawiamy o dawnym jedzeniu, baraninie i zupie z kwacków na mleku. I słucham wspomnień o jeżdżącym konno na oklep Franku, któremu*



podskakiwała podczas jazdy grzywka – i prezentował się jako jeździec wspaniałe.

Rozmawiamy też o gospodarzach – rolnikach. Okazuje się, że do niedawna był jeszcze Jasiu – Gospodarz. Ale też już nie ma gospodarstwa. Ma już tylko kozy. Kóz nie było tu dawniej za wiele, ale były owce. Ale też nie tak, jak w innych rejonach, choćby w Węgierskiej Górze. Teraz jest więcej – jak idą na wypas i jak schodzą. I na jesień tu właśnie tędy (przez Kocurów) – przez Łyskę te owce przeprowadzają. Z Krzyżowej, z Jelesni. I tu pasą, bo tu jest dużo łąk.

Jeszcze raz pytam o Ciotki – jak one funkcjonowały? Razem mieszały, razem żyły... Dom miały obrazami świętymi obwieszony, bielili go co jakiś czas – pewnie raz do roku.

ONUFRY

Zabytkowa jest również kapliczka Matki Boskiej u Stasicowej Marysi, która dba o nią, obsadza kwiatami. Kiedyś dawniej „na Majowe” spotykano się przy kapliczkach właśnie. A ozdabiano kapliczki kwiatami z bibuły.

Ale, jak mówią zgodnie nasze Przewodniczki, najpiękniejsza kapliczka to była między Kocurowem a Moszczanicą.

- Pamiętasz tę malutką kapliczkę w lesie?

- Tak. Ten Onufry...

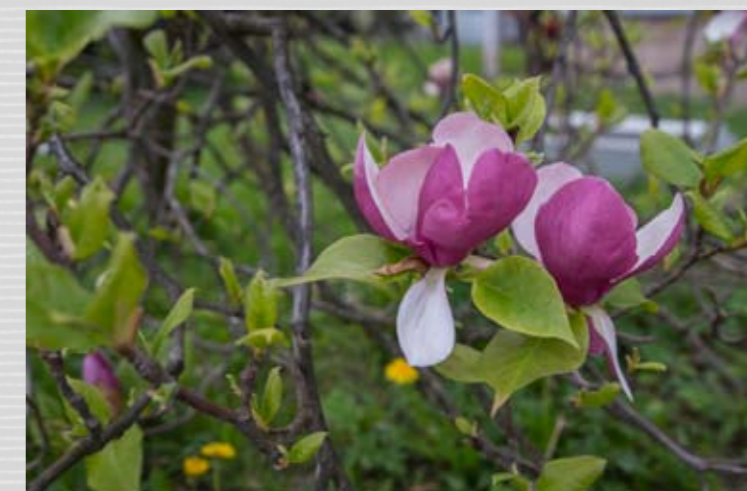
- Tak. Teraz człowiek to już tak nie chodzi w tamtą stronę.

- I tam był święty Onufry w kaplicy?

- Tak. Ludzie chodzili tam, a potem – nie wiem, jak to się stało – mówili, że znaleźli tam zabita kobietę.

- I potem już się wszyscy tam bali chodzić.

Żeby dotrzeć do kapliczki, trzeba kierować się w stronę Moszczanicy. Rozmawiamy jeszcze o pięknych widokach - Kocurowianom można tego zdecydowanie pozazdrościć. Widać Żywiec i pół Żywiecczyzny. Nawet jezioro, na dnie którego jest stara wieś Zadziele – ale to już zupełnie inna historia.



KOLEBY

Wysiadamy z autobusu linii nr 1 obok przedszkola w Sporyszu. Skręcamy w lewo, i ruszamy w górę – ulicą Pierwogóra. Idąc cały czas w górę można dojść aż do Łyski – góry która wznosi się nad Kolebami. My skręcamy do ogrodu pani Cecylii Słowik, z którą ruszamy zobaczyć ślady historii – w towarzystwie kuzyna, pana Antoniego Hylińskiego. Ich wspólnym dziadkiem był Kuba Caputa – wójt Koleb.

- Tu był Sporysz, aż do Świnnej. A kończyło się to zawsze takimi znakami jak na przykład ten krzyż. Ten krzyż jest w polu. Ale on nie był w polu! Bo droga szła tak prosto, do góry, do góry i do tego krzyża. Następna kapliczka jest tam na dole – tzw. Ulica Spacerowa – i tam jest kapliczka która też dzieli to pole od innego Pana. I tutaj na tym terenie takie religijne kapliczki były stawiane prawdopodobnie na granicach pól, wie Pani.... I teraz tak – co się stało? Nie wiem, z jakiego nadania, bo mój dziadek Caputa nie urodził się tu w Kolebach, skąd się tam wziął dokładnie – nie wiem... Mój dziadek Hyliński też nie wiem, skąd się tam wziął.

I teraz niech Pani patrzy: granica leci od krzyża tam na dół do kapliczki, w tą stronę leci granica ku Świnnej, ku Koszarawie – to było wszystko Habsburgów. Od zamku, parku, tu gdzie jest Śrubiarnia, gdzie PKS, gdzie ta szkoła, droga – to wszystko, wszystko, cały ten



teren należał do Księcia Habsburga. I On tutaj gdzie jest PKS, gdzie jest część Śrubiarni miał stajnie, krowy, świnie, wszystko - taki folwark. I zbierał z pola swoje płody – żadnych domów tu nie było. I jest taka sytuacja – nie mogłem tego znaleźć – dokument że skoro mój dziadek kupuje cały ten teren od tego krzyża aż do samego dołu, to wszystko co tutaj jest zabudowane, to jest mojego dziadka Caputy.

- Kiedy to było?

- No to było już ... przed 1920 rokiem....

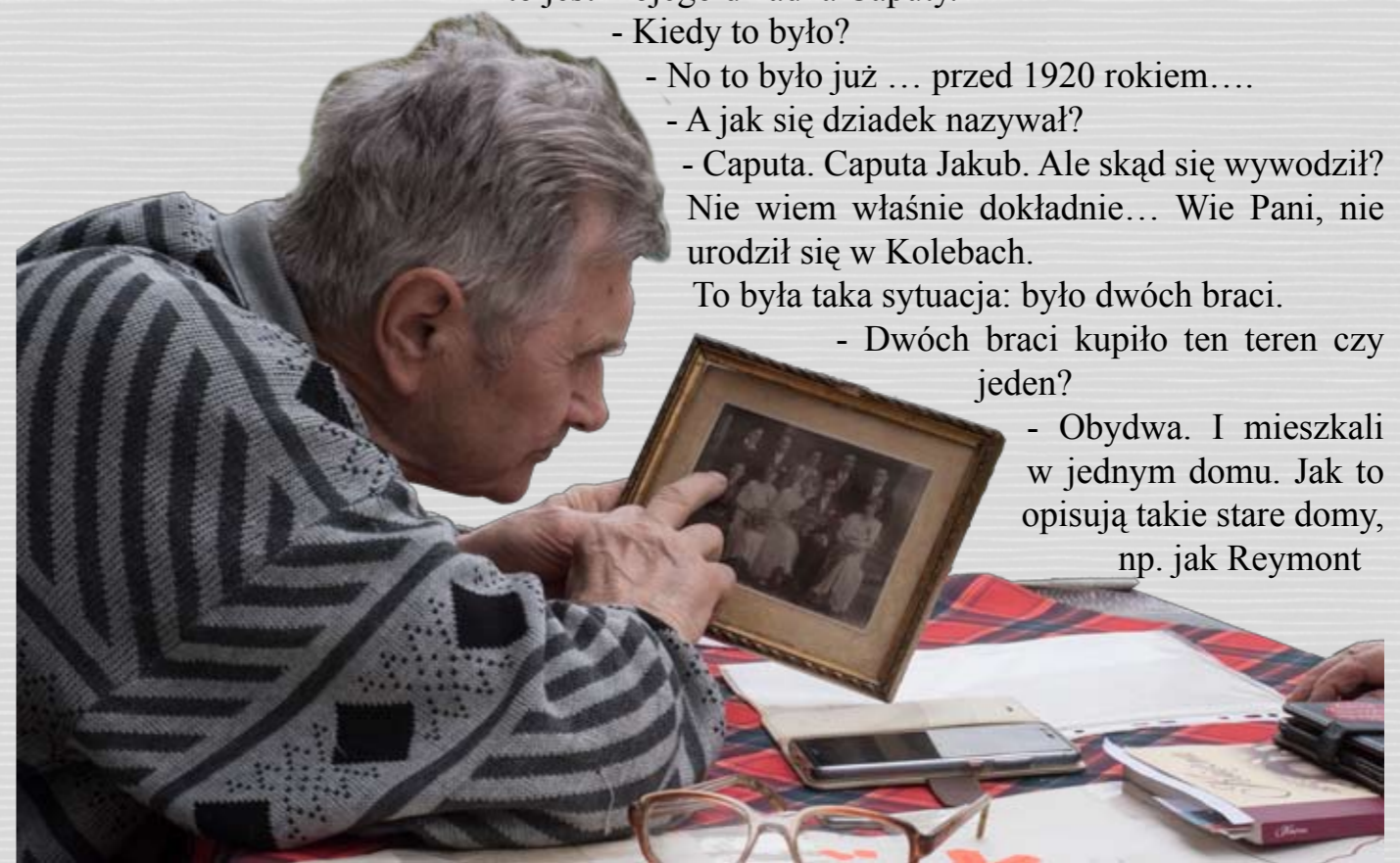
- A jak się dziadek nazywał?

- Caputa. Caputa Jakub. Ale skąd się wywodził? Nie wiem właśnie dokładnie... Wie Pani, nie urodził się w Kolebach.

To była taka sytuacja: było dwóch braci.

- Dwóch braci kupiło ten teren czy jeden?

- Obydwa. I mieszkali w jednym domu. Jak to opisują takie stare domy, np. jak Reymont



opisuje, że jest sień i po dwóch stronach izby. Jedna taka reprezentacyjna, i kuchnia... I jest sytuacja taka: nie chcę wynikać w historii rodzinne, bo można się pogubić, bo niech sobie Pani uprzytomni taką rzecz: mój dziadek ma proszę Panią trzech synów, trzy córki, czyli sześcioro dzieci. A drugi brat po tej drugiej stronie ma dziewięcioro dzieci. Razem jest piętnastka. I jak się to teraz pożeniło, to ja nawet nie wiem, gdzie kto jest! No bo skąd mogę wiedzieć?! – śmieje się Pan Antoni.

Prawdopodobnie bracia Caputowie wywodzili się z Lipowej. We wspomnieniach rodzinnych pozostała pamięć i pochodzeniu „od Bielska”, z Lipowej właśnie. Prawdopodobnie stamtąd się wywodzą – jak mówi Pan Antoni – dawniej się mówiło, że dziadkowie przywędrowali z Węgier. A ponieważ to był szlak tzw. „węgierski”, droga na Węgry prowadząca, przez Lipową, Zabłocie, Węgierską Górkę, to tak mówili...



- Mój Dziadek kupuje tą Pierwogórę całą, i na dole buduje pierwszy domek, i powstaje pierwsza szkoła. 4-klasowa. Tak! 4-klasowa pierwsza szkoła. Numer budynku 305 w Sporyszu.

- W którym budynku?

- W tym, którym ja teraz mieszkam! Tak! Powstaje szkoła podstawowa 4-klasowa. Bo na wsiach były 4-klasowe, a w miastach 6-klasowe. I zaczyna się rozwijać przemysł, robotnicy, powstają domki. I były dzieci, więc rozwinęła się szkoła, i ta szkoła była do II Wojny Światowej. I w tej szkole uczył Zych – potem w AK był, „Szary”, tak go nazywali. Potem uczyła Gąsiorkowa, i ksiądz prałat Słonka uczył religii – i mnie tutaj chrzczył! Szkołę zlikwidowali jak wybuchła wojna.

- W którym to było roku?

- Ja się urodziłem w 1937, to wie Pani, w którym to było roku – znów ze śmiechem kwituje

Pan Antoni.

- Ksiądz Słonka był już wówczas w Zabłociu!

- Tak. Ale dojeżdżał tutaj! Bo przecież kapliczka była taka nieduża w Sporyszu, nie było kościoła – nie!

Faktycznie dyrektorem szkoły w podżywieckich Kolebach w latach 1922-1935 był Wanancjusz Zych. Założyciel tutejszej Tajnej Organizacji Wojskowej, następnie komendant Obwodu Żywieckiego ZWZ-AK. Zmarł w Żywcu, i został pochowany na cmentarzu Przemienienia Pańskiego.



Bo chodzi o drogę – jak mówi Pan Antoni. Droga wyznacza rytm historii Koleb i rytm życia mieszkańców. Mój dziadek Hyliński, który chyba z nadania mieszczan żywieckich się osiedlił, bo takie nietypowe nazwisko przez „samo H”.

- usystematyzujmy... Najpierw był dziadek Caputa, tak?

- Tak.

- Który kupił tutaj ten teren?

- Tak. I dziadek Caputa osiedlił się w Kolebach. Ale dziadek Hyliński też się tutaj osiedlił, w Kolebach, i aż do krzyża część pola należała do niego.

- Do Hylińskiego?

- Tak. Do Hylińskiego. I dziadek Hyliński miał trzech synów i dwie córki.

Kiedy ludzi w Kolebach przybyło, i w zasadzie wszyscy pracowali w „Śrubiarni” stara droga okazała się być niezbyt wygodna – do za długa. Uzgodnili więc, że każdy „puści” trochę swojej ziemi, czyli odda część na drogę, i tak tworzyła się pomalutku droga przez las – prościutko „ku krzyżu”. Musiała być droga – bo Habsburg miał pola, i musiał zwozić zboże. Jakby nie było drogi, to trzeba byłoby jeździć przez Kaniowy las. Dzieci do szkoły chodziły w dół, do



Sporysza – bo nie było szkoły w Kolebach. Więc też miały wygodniej.

Dołącza do nas nasza dzisiejsza gospodyni i przewodniczka: pani Cecylia Słowik. Przynosi ogromny arkusz złożony „na 3”. Co tam jest? Jak sama mówi:

- I tu jest właśnie wszystko razem i każdy z osobna...

Jak się okazuje, to drzewo genealogiczne, na którym widać jak

rozwijało się osadnictwo w Kolebach i na Pierwogórze. To prace na lekcję historii w LO wykonana w latach 90-tych przez córkę pani Cecylii, sukcesywnie uzupełniana. Widać doskonale, jak łączą się rodziny, nazwiska, osoby – poprzez śluby, narodziny i migracje. Oglądamy również stary dokument: plan sytuacyjny sprzed wojny z Gminy Katastralnej Sporysz z 1932 roku. To urzędowe wytyczenie drogi.

- Jak chcemy wiedzieć, co to są Koleby – mówi Pan Antoni – to trzeba pamiętać, że mieszkańcy zawsze mówili, że są panami z miasta. Koleby zostały nadane ponoć mieszczanom przez Jana Kazimierza.

„W czasie parcelacji gminy Sporysz przez byłego właściciela Karola Olbrachta Habsburga prowadzonej w roku 1936 za zezwoleniem władz administracyjnych obywatel Caputa Franciszek nabył przedwstępnie dwie działki gruntowe położone wyżej” – tyle i aż tyle mówią nam dokumenty.

Pamięć rodzinna uzupełnia szczegóły:

- Pierwogóra należała do Habsburgów ...

- mówi Pani Cecylia...

- ...a Koleby do mieszczan, nadane z tytułów królewskich

- uzupełnia Pan Antoni.

- I co tam było?

- Tam były pastwiska, pola uprawne, i nie było zamieszkałe. Nic. Dopiero jak nasz przodek Caputa kupił ziemię w Kolebach, to wybudował tam dom i zamieszkał tam. Ten dom do dziś zresztą tam stoi. I potem kupił też ziemię od Habsburga. Ale najpierw musiał kupić w Kolebach, albo dostać z nadania.

- To był pierwszy dom wybudowany w Kolebach?



- Tak. To był pierwszy dom. Potem tam się osiedliły różne rodziny: rodziny Hylińskich, rodziny Stasiców, Wdowiaków... wszystko to mamy w naszej księdze... Niemcowie, Kubicowie... i wiele innych.

Przełamywamy uważnie ogromny arkusz. Jest tak duży, że nie mieści się na stole.

- A ten Wdowiak prowadził pocztylion – uzupełnia Pan Antoni.

- Kiedy to było? Przed wojną?

- O! grubo wcześniej!

- O! tu jest napisane: Franciszek, syn Jakuba i Józefy, urodzony w 1905 w Kolebach, a zamieszkały w Sporyszu, Pierwogóra 6 – Pani Cecylia przytacza dane ze starych dokumentów.

- Wszyscy Capuci urodzili się w Kolebach – uzupełnia Pan Antoni – Ani jeden gdzie indziej się nie urodził! Nie ma innej opcji. Jakub Caputa - od niego się tu wszystko zaczyna – mieszkał w Kolebach. I był tam wójtem.

- Czyli w Kolebach były domy, mieszkali ludzie ale nie było szkoły?

- Tak; szkoła była tu na dole.



Dziadek Caputa dał pole, a dziadek Hyliński drewno.

- A do Kościoła gdzie się wówczas chodziło?

- Do Żywca – mówi Pan Antoni – Ale była tu taka mała kapliczka.

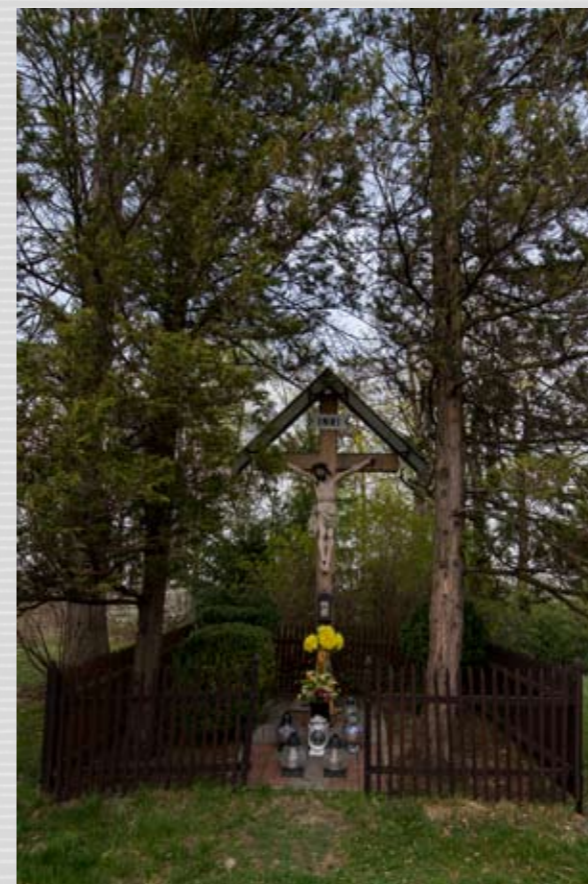
Oglądamy stare fotografie Koleb i Pierwogóry. W ogrodzie, w którym pijemy właśnie kawę z naszymi Przewodnikami – potomkami Kuby Caputy (jak sami mówią) - dawniej obok pięknej stodoły stał wiatrak. Na zdjęciach widać szczupłą kobietę w chustce na głowie w otoczeniu dzieci, na kolejnym zdjęciu poza bohaterami na pierwszym planie widać kobietę w oknie. Fotografie robili letnicy Zarebscy ze Śląska. Przyjeżdżali często, mieli aparat, i stąd te zdjęcia zostały. W oknie – jak się okazuje - sfotografowano Józefę Caputę, córkę Anny i Wojciecha, z domu Wdowiak, żonę wójta Jakuba, urodzoną w 1885 – tak podpowiada nam opis z rewersu fotografii. Zaczyna się wszystko od Jakuba Caputy (urodzonego w 1876 roku) i jego brata Gustawa. Kuba i Gustek – dwóch braci.



Później ruszamy w teren – oglądamy Kapliczkę wyznaczającą granicę między Sporyszem a Kolebami. Potem dom pani Kasperkowej – znanej w okolicy nauczycielce krawiectwa. U niej właśnie uczyła się mama pani Cecylii – wędrowała na nauki aż z Trzebini. Wyżej w lewo znajdują się stare, drewniane domy – pamiętające czasy wspomnianych Jakuba i Józefy Caputów. W prawo można dojechać do szkoły – dawniej publicznej, dziś prowadzonej przez

Fundację Królowej Świętej Jadwigi szkołę Montessori. Koleby łączą się z Kocurowem z jednej strony, również Sporyszem i Świnną. Jesteśmy wysoko – widoki niezapomniane.

Przed wojną tereny te były często odwiedzane przez Habsburgów – Maria Krystyna z rodzeństwem jeździła tu na nartach. Na zdjęciach z tamtych lat widać grupę ludzi przy granicznej kapliczce z



Jezusem Ukrzyżowanym – TEJ kapliczce. Obok sianie, woźnica i sprzęt narciarski. Koleby to piękne miejsce – trudno się stąd wyjeżdża.

Po kilku godzinach pani Cecylia zwozi nas na Podwale. Stąd już tylko kilka kroków do Zabłocia. Okazuje się, że w okolicach dawnego „Baru pod Dębami” i zabytkowej figurki Jezusa Nazareńskiego mieszkała Ciotka naszych dzisiejszych przewodników, przy drodze na Węgry, w Zabłociu. To miejsce bardzo szczególne – ale to już zupełnie inna historia.



SPORYSZ

Ze Zbyszkim Micherdzińskim na spotkanie i rozmowę umawiałam się jeszcze zimą. Udało się w ciepły, kwietniowy dzień. Zawsze już Sporysz będę kojarzyła z rzeźbą w kamieniu. Dlaczego? Bo mieszka tam Leszek Cieślik. Kim jest Leszek Cieślik? Opowie Zbigniew Micherdziński. Spotkaliśmy się na Podwalu, ruszyliśmy przez Isep, kładką w stronę Amfiteatru. U podnóża Grojca odbyła się nasza rozmowa – o sztuce, artystach i tym, co nienazwane.



- Kim jest pan Cieślik?
- Znanym i cenionym rzeźbiarzem. Po przejściu na emeryturę około 20 lat temu postanowił zająć się rzeźbą – trochę za namową swojego szwagra. Stworzył swoją pierwszą rzeźbę w życiu: „Chrystus przy słupie” I to był po prostu hit. Gdy tę rzeźbę zobaczyłem, powiedziałem: biorę! I pokazałem ją na wystawie „Życie Chrystusa w sztuce ludowej”. To był rok 2000 i od tego czasu zaczęła się nasza współpraca z Leszkiem. Okazało się że to jest talent czystej wody – człowiek, który



ma niezwykłą intuicję, wycucie, łatwość obrabiania i kamienia, i drewna. No i tak jest do dziś. Jest laureatem wielu konkursów, głównie rzeźby w kamieniu, gdzie zdominował te które organizujemy z Nowym Sączem – w III edycjach był 3-krotnie pierwszy. W domu ma galerię swoich rzeźb kamiennych, ma tam około 80 prac. Jest takim przykładem rzeźbiarza

nietypowego, niekomercyjnego – on nie robi tego po to, by to sprzedawać. Robi po to, by mu to dawało radość i przyjemność. Niechętnie sprzedaje, to wszystko trzyma w swojej galerii. Myślę, że niewielu jest takich artystów - ja przynajmniej nie znam takiego drugiego artysty, który potrafi w taki właśnie twórczy sposób podchodzić do tego. Opanował znakomicie technikę obróbki kamienia – można powiedzieć wręcz, że umie rozmawiać z tym kamieniem. Bierze kamień i czuje, czy ten kamień nadaje się na rzeźbę, czy się nie nadaje. To wszystko lata praktyki. Poza tym jest człowiekiem bardzo otwartym – bardzo chętnie pomaga młodym artystom, prowadzi warsztaty, szkolenia, przekazując bezinteresownie swoją wiedzę. To jest takie fajne, bo dawniej artyści ludowi bardzo strzegli swoich tajemnic, umiejętności. Przełamał to dopiero



Staszek Kwaśny, który stwierdził, że nie można tego wszystkiego chować, trzeba przekazywać młodym – i tak się to zaczęło. Za Kwaśnym poszedł Cieślik, potem inni, i dzięki temu myślę, że zwiększyła się liczba rzeźbiarzy.

Trudno jest powiedzieć, bo tak próbujemy szufladkować tych artystów, ludowy – nieludowy, amator – nie amator. Dla mnie po prostu Cieślik jest artystą – ten przydomek czy ludowy, czy jakiś inny jest bez znaczenia. On po prostu tworzy, czuje to, co robi, wkłada w to wiele serca. Ma sporą wiedzę, jeśli chodzi o tematykę sakralną, bo te rzeźby są głównie o tematyce sakralnej. Potrafi zrobić pracę na każdy temat – no i to jest piękne. To świadczy o jego kunszcie i klasie – bo dawniej często rzeźbiarze mieli opanowanych parę wzorów, i tylko to robili. Cieślik robi to, o co się go poprosi. I to jest piękne.

- A kamień? Rzeźba w kamieniu na Żywiecczyźnie?

- Kamień to taka dziedzina sztuki, która zaginęła. Na Łysinie było centrum rzeźby w kamieniu (nad Łękawicą taka wioska) ale po II wojnie światowej okazało się, że nie ma zapotrzebowania na elementy kamienne. Łysina zaczęła się wyludniać, starsi rzeźbiarze zmarli, młodych nie było, bo to nie dawało profitów. Rzeźbą w kamieniu w latach 80-tych zajął się Rysiek Biel – młody



rzeźbiarz, który - można powiedzieć - reaktywował tę rzeźbę w kamieniu na Żywiecczyźnie. Potem przy naszej pomocy - Wojewódzkiego Domu Kultury wtedy - zaczęliśmy to promować, organizować konkursy, i tak jest do dzisiaj. W tej chwili w samym Żywcu mamy pięciu rzeźbiarzy w kamieniu, i to jest ewenement bym powiedział na skalę ogólnopolską. Nie ma drugiej takiej miejscowości, gdzie byłoby tylu rzeźbiących artystów w kamieniu.

- Pan Leszek Cieślik nie jest jedynym artystą ze Sporysza, który zajmuje się sztuką - nazwijmy to ludową albo amatorską?

- Nie. Była taki znakomity artysta ze Sporysza, który zmarł z głodu i wycieńczenia. Malował na opakowaniach z tektury, nazywał się Franciszek Janeczko. Zachowały się listy, które pisał do Muzeum Etnograficznego w Krakowie, do ówczesnego dyrektora, żeby go porwał, że on mu będzie malował, bo wie, jak się to robi, że on to czuje, a w domu go biją, przezywają, po prostu nie ma życia. Oczywiście było to nierealne - nie dało się

go porwać. Ale dzięki temu, że się odezwał, dostał farby i tekturę, i stworzył czternaście pięknych prac, które są w zbiorach muzeum etnograficznego. Dwie czy trzy prace są w Muzeum w Żywcu. Po Janeczce nie zostało nic więcej.

Mamy w samym Żywcu jeszcze paru rzeźbiarzy, którzy odnoszą sukcesy w rzeźbie w kamieniu, jak Wiesiek Wilga, Bronek Mieszczak czy Tadeusz Pawełek.

- A czy w rodzinie pana Cieślika były tradycje artystyczne? Czy on się tak na tej emeryturze wyłonił w zasadzie trudno stwierdzić skąd?

- O korzeniach artystycznych nic nie wiem. To była rodzina znana, ceniona, jego dziadek był zamożnym gospodarzem, i Leszek z tego, co opowiada, zawsze miał kontakt z tym struganiem, bo zawsze coś trzeba było zrobić do domu czy w gospodarstwie.

- Ale to były raczej rzeczy użytkowe, nie artystyczne?

- Tak, ale to pozwoliło poznać mu technikę obróbki drewna, zaznajomić się z tym, i jak zaczął tworzyć, to już wiedział jakie drewno się do czego nadaje, jak to obrabiać. Podobnie było z kamieniem.

- A czy są kobiety, które rzeźbią w kamieniu.

Tak.

- Zbyszku, a Ty pochodzisz skąd?

- Z Żywca.

- Z Żywca - a dokładniej skąd?

- Z Ispu. Ulica Węglowa. Węglowa 22.

- Acha.

- To niedaleko piekarni Stasicy. Tam się urodziłem, i myślę, że zainteresowanie sztuką ludową zawdzięczam Rodzicom, bo oni mnie zawsze gdzieś zabierali - na wystawy, do muzeum. Tata sporo kupował - materiałów związanych z Żywiecczyzną, z kulturą. Potem wysłali mnie do domu kultury na zajęcia z malarstwa na szkle.

- Kto Cię uczył?

- Karol Gołek. Znana postać. Potem Halina Liwińska. Karol Gołek nauczył mnie jak się robi ceramikę, haftuje na płótnie, wypala różne rzeczy, czy malowanie na szkle. Karol Gołek pochodził z Brzuśnika, był absolwentem szkoły Kemara - tej szkoły zakopiańskiej słynnej, był człowiekiem, który posiadał wielką umiejętność przekazywania i zarażania dzieci i młodzieży sztuką.

- Gdzie te zajęcia się odbywały?

- W Młodzieżowym Domu Kultury - dawnym Sokole. I te prace które tam są jak się wchodzi - ceramiczne - to są moje i mojej siostry. Tam zdobywałem nagrody w różnych konkursach ogólnopolskich. Chciano mnie wysłać do technikum ceramicznego w Nowym Wisniczu, ale okazało się, że już byłem za stary - kwituje ze śmiechem.

Potem zainteresowania moje trochę się zmieniły, no i z ceramiką na wiele lat kontakt zerwałem. Ale gdy zacząłem pracować w Wojewódzkim Domu Kultury, to te umiejętności

bardzo się przydały. Kiedy zacząłem organizować konkurs malarstwa na szkle, okazało się że ludzie nie mają o tym pojęcia, i malowali na szkle rzeczywiście - z góry. A to nie o to chodzi. Technika malowania na szkle tradycyjna polega na czymś zupełnie innym: maluje się z tyłu szyby, a patrzy z przodu. I tak to wszystko wyglądało.

- Czy malowanie na szkle to Twoja główna pasja artystyczna?

- Mój problem polega na tym, że ja mam wiele pasji.

- No tak - wiem, znam to doskonale. Ale zawsze jest coś szczególnego, najważniejszego.

- No tak - faktycznie, najwięcej przyjemności i sukcesów mam właśnie z malowania na szkle.

- A Isep ma swoją tożsamość? Jak się mieszkało na Ispie, to miało się takie poczucie, że ten Isep to jest swoisty mikrokosmos w szerszym kontekście większej społeczności? Czy to się jednak rozmyło?

- Myślę, że to się rozmyło. Tego nikt nie pielęgnował, tej tożsamości jak Isep został włączony do Żywca. Ja sądzę, że to było ważniejsze dla ludzi starszych ode mnie, którzy tam żyli w okresie międzywojennym. Tak uważam. Potem to wszystko zaniknęło.

- A co to jest ten Isep? Bo Isep jest też w Wieprzu i innych miejscach. To teren zalewowy...

- Tak.

- Ale w Żywcu Isep to jest jednak coś więcej.





- Tak. Ciągnie się od ulicy Kościuszki, wzdłuż prawego brzegu Koszarawy... ale może więcej powie nam Leszek Cieślik. Węglowa, Ogrodowa... to jest Isep.

- Czy Twoja Rodzina pochodziła od pokoleń z Ispu?

- Tak.

Idziemy wzdłuż Koszarawy, po jej lewej stronie, pod Grojcem. Wokół przebija żółty podbiał. Liści jeszcze nie widać, ale czuć wiosnę. Rytm rzeki tak wciągnął Terenię, że skręcając w uliczkę Magnoliową niemal ją zgubiliśmy. Jak na wycieczkach szkolnych zaczęliśmy się drzeć: „Tutaj! Tutaj!” Fajne uczucie. Kluczając wśród wąskich uliczek docieramy dokładnie tam, gdzie trzeba. Skąd wiemy, że to właściwy adres? Bo nasz dzisiejszym Przewodnik to przyjaciel Artysty. No i w ogrodzie witają nas kamienne rzeźby, w tym stojąca pośród drzew na wprost bramy Święta Kinga. Jesteśmy na miejscu. Już wiemy, że niezwykłym. Ale kiedy chwilę później poznamy pana Leszka – to przedpołudnie okaże

się być niezapomnianym.

- Zbyszek Micherdziński opowiadał nam, że Pańska przygoda z rzeźbą to nie jest konsekwencja edukacji w szkole, ani też nie rzeźbi Pan „od zawsze”. Wszystko zaczęło się w momencie, gdy przeszedł Pan na emeryturę.

- Tak, ale zainteresowania w tym kierunku miałem zawsze. Ale nie było możliwości – praca zawodowa i inne sprawy...

- Pierwsza Pana rzeźba powstała zatem kiedy?

- Pierwsza praca to „Chrystus przy słupie”. Wcześniej były płaskorzeźby -ale sporadycznie robione. Korzystałem gościnnie z czyichś narzędzi pożyczonych – tak raz do roku.

Ta właśnie pierwsza rzeźba przywitała nas zaraz po przekroczeniu progu domu Pana Leszka. Stoi vis-a-vis drzwi, i przykuwa uwagę wchodzących. Zbyszek podszedł do niej zaraz po wejściu tak, jakby się witał z dawno niewidzianym znajomym. Chwilę później zza drzwi wyłonił się Artysta – siwowłosa, z bardzo spokojnym głosem. Weszliśmy wspólnie do galerii, w której przywitały nas kamienne i drewniane rzeźby. W pierwszej chwili trudno skupić się na rozmowie – bo ciągle wzrok ucieka. Kamienne rzeźby emanują spokojem – tak, jak ich autor.

- Zatem który to był rok, gdy się wszystko zaczęło?

- 2000. To była wystawa „Chrystus w sztuce ludowej”. Do dziś pamiętam jak to zrobiłem i



zaniósłem do Ciebie do domu, pamiętasz? – pan Leszek zwraca się z pytaniem do Zbyszka Micherdzińskiego.

- Tak, oczywiście! Pamiętam. Ze Staszkiem Wyrtem przyszlście.

- Tak. Stało to na schodach. Staszek przyjechał i mówi tak: „no! Zabieraj to i do Zbyszka”. Bo Staszek już mnie wcześniej zachęcał do udziału w tej wystawie, ale ... jakoś zapomniałem, pamiętałem temat. Ale nie myślałem o wystawie. Staszek mówi: „do Zbyszka”.

A ja na to: dajże spokój! Pierwszą sztukę taką zrobiłem...

- To było piękne... – dodaje Zbyszek

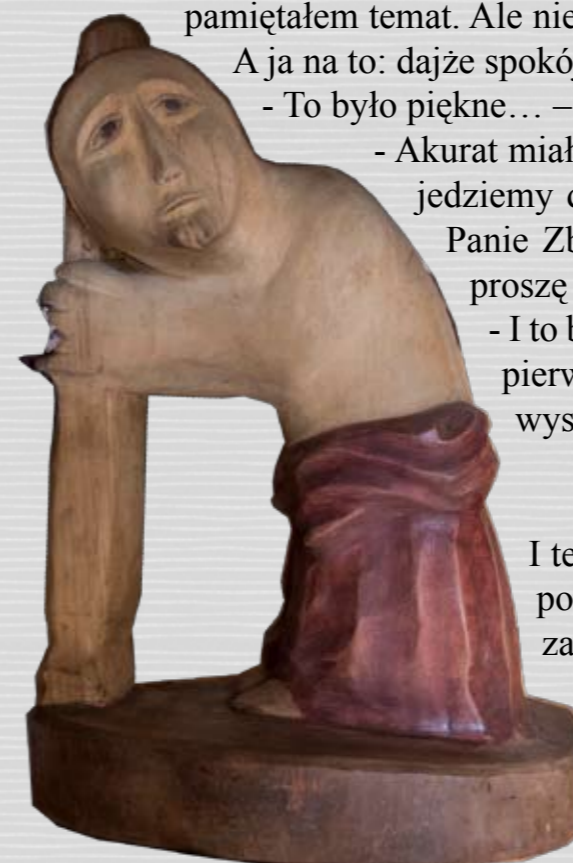
- Akurat miałem taką torbę pakowną – kontynuuje pan Leszek – to jedziemy do Zbyszka. Przywiozłem, wyłożyliśmy to, i mówię: Panie Zbyszku, jak to się do czegoś przyda... Na co słyszę: proszę zostawić. I tak zostało.

- I to była pierwsza wystawa – uzupełnia Zbyszek - i od razu pierwsza nagroda. Od razu mocno Leszek zaczął, bo to była wystawa dla wybranych rzeźbiarzy, malarzy na szkłe.

- Podobnie miałem z tym (wskazuje na rzeźbę nad naszymi głowami) ojcem Pio – zaraz po kanonizacji.

I też zawiozłem do Krakowa, przychodzę, rozglądam się po tych salach, wszystkie dziedziny sztuki tam były, i zawodowcy, i amatorzy, i ludowcy. Długa kolejka była do odbioru – Pani Kurator obierała, kwalifikowała.

A ja torbę zostawiłem i poszedłem popatrzeć. Jak zobaczyłem, co tam mają, to chciałem zabrać moją robotę i wracać...



- A Kuratorka mówi: „A gdzie Pan z tym idzie?”.

- Odpowiadam: no nie, ja się pomyliłem...

- „A skąd Pan wie?” – pyta Ona.

- „Bo tam zaglądałem..”

„A po co Pan tam zaglądał? Niech Pan to zostawi”.

No i okazało się, że było wyróżnienie. To był konkurs ogólnopolski. Czasem tak jest, że ktoś zachęci, mimo że człowiek nie ma przekonania... A potem był kamień.

- Tak samo było z tą Edytą Stein - Zbyszek wskazuje na rzeźbę stojącą na parapecie – ta rzeźba



zrobiła furorę na konkursie „Patroni Europy w sztuce”, gdzie była bardzo, bardzo poważna komisja, m.in. profesor Pokropek z Warszawy i profesor Kliś. To był taki mój eksperyment – zrobiłem konkurs, zaprosiłem wszystkich i nie pisałem, czy to jest dla ludowych czy amatorów, czy zawodowców. Dwa dni komisja obradowała, i okazało się, że nagrody główne zdobyli artyści ludowi, a zawodowcy w ogóle... Wtedy właśnie ta rzeźba – Edyta Stein – zdobyła pierwszą nagrodę. I tak się właśnie zaczęło – że Leszek od razu zdobywać zaczął nagrody, a ludzie pytali: „co to za Cieślik? Skąd się wziął?” To było niesamowite.

Terenia robi zdjęcie Edycie Stein z piaskowca. Podczas przenoszenia pracy na komodę okazuje się, że tę rzeźbę bardzo lubi Zbyszek. Na czas fotografowania zostaje ulokowana centralnie, na tle drewnianych prac.

- Tu padło takie zdanie, że pytali inni artyści: „skąd się wziął Leszek Cieślik?”. A zatem: skąd się wziął Leszek Cieślik? Czy Pan jest od zawsze stąd? Jest Pan Sporyszaninem? Czy z Ispu?

- Tak. Sporyszaninem. Rodowitym. Spod Wapiennika.

- No właśnie, a Isep gdzie się kończy? – wtrąca pytanie Zbyszek – tu to nie jest Isep?

- Tu jest z nazwy isep. Wszystkie tereny nadrzeczne to był isep. Tu były pastwiska krów.

I gęsi. Rzeka sobie robiła wysepki, takie miała dodatkowe koryta, jak tylko większa była. I tu się urodziłem.

- A czy w Rodzinie Pana ktoś kiedyś miał takie pasje, żeby rzeźbić, malować?

- Mama lubiła rysować, kreślić. Ale miała mało czasu na to. W szkole miałem przedmiot rysunki – tam była bardzo dobra nauczycielka, Pani Matuszkowa. Mieszkała w rejonie karmelu naprzeciw Świętego Krzyża. Parę razy udało mi się coś dobrego zrobić.

- Gdzie Pan chodził do szkoły?

- Tam, gdzie jest teraz Dom Dziecka. Potem przenieśli ją tam, gdzie jest teraz. Ja chodziłem tam ostatni rok. Teraz to jest szkoła nr 3 Mickiewicza.

- Panie Leszku, skąd Pan wie kiedy zobaczy kamień czy palik drewniany, co z tego zrobić? Czy to wiadomo już, gdy się spojrzy? Czy raczej powstaje w trakcie tworzenia? W którym momencie tworzy się świadomość, że z tego coś powstanie?

- Wie Pani co, to takie dwie drogi są. Jak mam coś określonego zrobić, to muszę przygotować – chociażby i w głowie – projekt, na który trzeba jakiegoś materiału. A jest jeszcze druga droga – co ten materiał mówi, co z niego można zrobić. Na przykład tam, widzi Pani, jest Trójca Przenajświętsza. Przecież bym tego nie robił, bo bym się nie odrobił, albo by prędzej kamień pękł. Ciekawy taki kamień był, więc zrobiłem z tego baldachim i ozdobiłem chmurkami. Bo taki kamień jest.

- Większość Pana prac związana jest z tematyką sakralną.

- Tak, sakralną. I ludową. Np. tam jest kosiarz, siewca, kobieta z bochnem chleba...

- Gdzie Pan szuka inspiracji?

- Inspiracje przychodzą nad ranem.. Kiedy się człowiek wcześniej budzi i to kołacze. Jak się tego tematu nie podejmie – to na drugi dzień znów przychodzi do głowy. Myślę: trzeba to zrobić... I jeszcze jedną moją cechą jest upór. Jeszcze z żadnego kamienia, który zacząłem nie zrezygnowałem. Nawet jeśli pękł.





Pan Leszek wskazuje rzeźbę Jana Pawła II - z drogi krzyżowej z Koloseum. Ten kamień pierwotnie miał być szopką bożonarodzeniową. Ale jego kształt podpowiedział inny temat. Nieprzewidywany.

- A'propos szopek – dodaje Zbyszek – Leszek jest pomysłodawcą i twórcą szopek kamiennych. To przykład inwencji, nie jest to kopiowanie pomysłów. Szopki kamienne to jego niepowtarzalna zasługa.

- I nigdy nie zrobiłem dwa razy tej samej rzeźby – dodaje pan Leszek. Mogą być bliźniacze, ale nigdy nie takie same. Jedyne drugi raz zrobiłem Edytę Stein na zamówienie księdza proboszcza Koziela z Zabłocia. Bo mam za dużo tematów żebym się powtarzał. Może gdybym robił komercyjnie, to bym upraszczał, i zamiast stu ruchów wykonywał czterdzieści.

- A czy ma Pan poczucie, że miejsce z którego Pan pochodzi i z którego Pan wyrósł, wpływa na to, jak Pan tworzy i jak Pan widzi sztukę?

- Nie wiem... Teraz czasami, wie

Pani, jak mam czas i jak nie rzeźbię, to nieraz mi różne wspomnienia przychodzą. Ale zawsze miałem do kamienia szacunek. Tak powiem – szacunek Nie myślałem nawet, że będę rzeźbił. Jak mówiłem, urodziłem się tam koło wapiennika, to tam zawsze jak się szło, to robotnicy



obrabiali kamień, tłukli na drobne, a wozacy wozili. A poszło się w górę, to oglądałem, jak w kamieniołomie te skały łupią klinami różnymi, mnie kamień interesował. Nawet mnie się niedawno przypomniało, jak dawniej był „szarwark” – prace na rzecz gminy – musiał każdy ileś zrobić. I starszy Pan układał ciek wodny koło drogi żeby nie wylewało z otoczków. I się przyglądałem i dużo czasu przy nim spędziłem, bo mi się podobało jak on to robi. Albo jak budowaliśmy dom, byłem wówczas małym chłopcem bardzo. I pamiętam jak ci murarze, bo to nie byli kamieniarze tylko murarze. Mieli młotki odpowiednie, i Ojciec gdzieś z Zadziela przywoził ten kamień piaskowiec. I jak oni to stawiali, to musiał pasować jeden do drugiego i to tak potem się zorientowałem, że jak źle zapasował to ten kamień parę razy dźwigał, dorabiał. A który tam był wprawny, to nie miał problemu. Poza tym w naturze wiele kamieni widziałem pięknych. Widziałem takie, że nie odważyłbym się w nich robić, bo są same w sobie.

- A czy Sporysz ma dziś swoje granice? Jak to jest? Gdzie się zaczyna?

- Oczywiście. Zaczyna się w połowie Wyszowiecia, tam jak bloki wojskowe obok parku, górą ulica Grapa, potem w dół do Koleb, Pierwogóra to też jeszcze do Sporysza, a potem ponad dawne stawy Śrubarni aż do tamy – mówi się most w Świnnej, a to jest most sporyski, potem Habdasówka, Grojec tam się Sporysz z Wieprzem łączy, i w dół do Zabłocia.

Rozmawiamy jeszcze chwilę o drodze krzyżowej prowadzącej na Grojec. O dawnych planach kamiennych figur i pleneru rzeźbarskiego, bo droga była często niszczona. Wspomina Pan Leszek, że obecnie stacje naprawili i wykonali starannie Uczniowie i Uczennice ze Specjalnego Ośrodka Szkolno-Wychowawczego w Żywcu-Sporyszu. Do tej szkoły uczęszczają wychowankowie z całego powiatu, a spotykają się właśnie z Sporyszu. Rozmawiamy też o Grojcu – zarówno pan Leszek jak i Zbyszek twierdzą, że to najpiękniejszy taras widokowy w całym Beskidzie – bo daje możliwość oglądu panoramy w wersji 3600. To fakt – Grojec to dla mieszkańców Żywca (i nie tylko Żywca) miejsce szczególne – ale to już zupełnie inna historia.



WYSZEMIEŚCIE

11 grudnia 2017 roku nie było ciepło. Dzień był mroźny i pochmurny. Wydawać by się mogło, że nie jest to dobry moment na spacer. A jednak...

Kilka dni wcześniej w Pracowni Introli-gatorskiej Macieja Cimały na Rudzy pojawił się – nie po raz pierwszy – gość niezwykły. Przypadek? Być może, ale bardzo korzystny. Gościem tym był pan Jerzy Chrobakiewicz, urodzony na Wyszemieściu w roku 1926, i mieszkający tam do dziś. A my właśnie od dłuższego czasu poszukiwałyśmy kogoś z Wyszemieścia. Kogoś, kto zna tam każdą cegłę i jest kronikarzem zmian. Jak się okazało – nie mogłyśmy trafić lepiej.

Na wspólny spacer umówiła nas Terenia Cimała. I tym sposobem spotkałyśmy



się z Panem Jerzym - naszym niezwykłym Przewodnikiem - w grudniowy poniedziałek na styku ulic Komorowskich i Jana, by poznać tajemnice Wyszemieścia.



ZAPYTACIE: GDZIE ZACZYNA SIĘ WYSZEMIEŚCIE?

Dokładnie tam, gdzie kończy się Rynek, a zaczyna ulica Komorowskich na dzisiejszym Placu Mariackim. Bo dzisiejsza ulica Komorowskich to właśnie Wyszemieście – z ciągiem kamienic po lewej i prawej stronie, aż do ostatnich bloków Osiedla Parkowego.

A dlaczego Wyszemieście a nie Wyszymieście? Bo tu mieszkali rzemieślnicy i rolnicy, i latyfundia mieli tutaj z tyłu, bardzo duże obszary, hodowali bydło, świnie, bogaci ludzie byli – tłumaczy Pan Jerzy. Granice Wyszemieścia są bardzo wyraźne. Dalej – zaczyna się Sporysz. I osiedle 700-lecia, wybudowane na gruntach rolnych, czyli wspomnianych latyfundiach mieszkańców Wyszemieścia.

W zasadzie Wyszemieścia są dwa. Jedno – to dzisiejsze, widoczne gołym okiem. I drugie – zapisane w pamięci Mieszkańców, którzy są w posiadaniu niezwykłego skarbu: wspomnień i historii. To pierwsze Wyszemieście nosi ślady dawnych lat w postaci secesyjnych kamienic, kapliczek i śladów wyburzonych domów odbitych na ścianach sąsiednich kamienic. Tak rzecz się ma z pustym miejscem za budynkiem nr 108. Pan Jerzy tłumaczy: „Tu był dom zburzony, tam jeszcze taki jest fragment (widać odbicie dachu na elewacji domu sąsiedniego), drewniany dom pana Gawędy. Jego właściciel został powieszony na targo



wicy przez Niemców.” To drugie – wspomina księcia Karola Habsburga, ogród i palmiarnię. I furmanów – którzy mieli niecodziennych

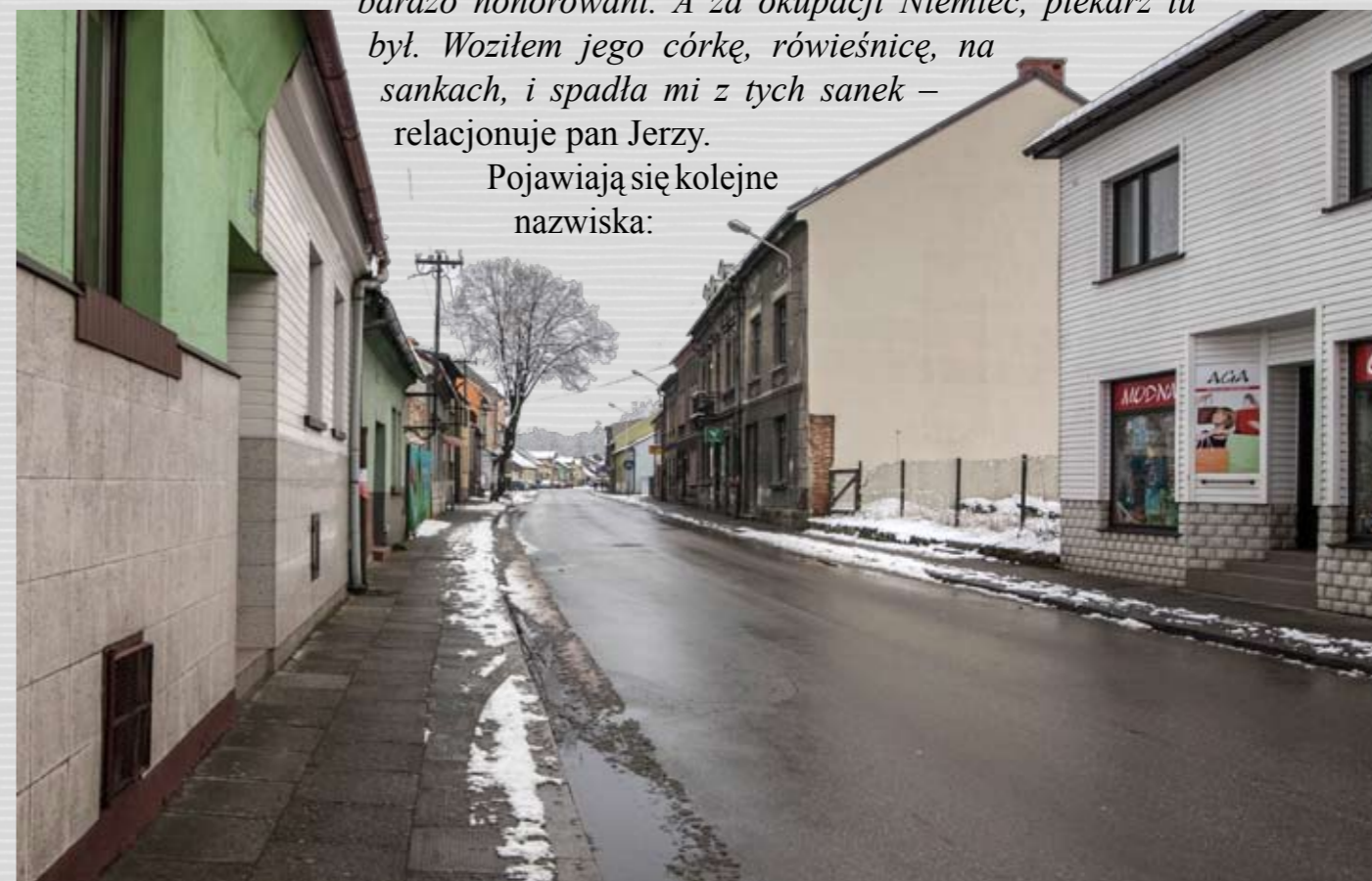
MIESZKAŃCY – DAWNI I OBECNI SĄDZIEDZI

Wędrujemy wśród kamienic, wspomnień i nazwisk. Są więc Budyńscy i Szutrowie na zawsze związani z secesyjną kamienicą pod numerem 13. Pod numerem 19 wbudowana w ścianę kapliczka i mieszkańcy: pani Stankiewiczowa i pan Zaiczek. Pod numerem 20 była niegdyś restauracja – prowadzili ją państwo Biarczyńscy. A w kamienicy pod nr 21, vis-a-vis? *Tu mieszkał właściciel: pan Studencki Julian z*



małżonką. Małżeństwo bezdzietne, i bardzo charakterystyczne było dla nich, że w Wigilię sprowadzali z Żywca wszystkich dziadków, to znaczy dziadów dosłownie, biednych, takich co przy kościele mieli siedzibę te dziady. Oni ich zawsze na Wigilię zapraszali, i byli za to bardzo honorowani. A za okupacji Niemiec, piekarz tu był. Wozilem jego córkę, rówieśnicę, na sankach, i spadła mi z tych sanek – relacjonuje pan Jerzy.

Pojawiają się kolejne nazwiska:



Diaczyńscy, Barutowicze, Cojda (wysiedlony przez Niemców), Pawełkowie i Porębscy. Są Koszykiewiczze, Szymońscy i Matlakiewiczze. *A teraz tutaj – doktor Bialek, który zginął w Katyniu – Pan Jerzy wskazuje na dom pod numerem 70a.*

Dalej: mamy secesję znów. P a ń s t w o Kleczyńscy, pochodzili z rynku, tam mieli piekarnię rodzice, bomba spadła obok dzwonnicy na rynku, było całe zniszczone i wtedy zniszczona została również cała piekarnia. Teresa Cimała dodaje: mój Tata był wtedy po chleb. Jak się



okazuje, historie ludzi łączą się czasem w niespodziewanych momentach.



ZAPOMNIANE PROFESJE, ZAKŁADY – CZYLI CO BYŁO KIEDYŚ W SKARBÓWCE?

Czasem los bywa przekorny – Sklep „Ekoidea” zaangażowany w program stypendialny „Żywiec z Pasją” mieści się w budynku, w którym dawni właściciele – Szymońscy, prowadzili rzeźnię i sklep mięsny. Na budynku umieszczona jest tablica pamiątkowa. To nawiązanie do czasów przedwojennych, robotników z terenów Zabłocia, Żywca i Sporysza. I marszu zakończonego śmiercią. Po tym marszu właśnie ponoć Ignacy Serog na rok zarekwirował muzykom z orkiestry „Solali” instrumenty.

Mijamy budynek dzisiejszego Urzędu Skarbowego. Pan Jerzy informuje: „A teraz to – bracie Janoszowie. Obaj kawalerzy, nie ożenili się, ale mieli latyfundia, i żyli z rolnictwa”. „A teraz tu (mówi Pan Jerzy wskazując



na budynek nr 35): *dom państwa Pstruszyńskich – wyrób grzebieni z rogów krowich*”. Kilka minut później zatrzymujemy się przy budynku nr 48. A ten budynek – *pan Gizicki, lekarz*. (za nim) *A teraz tutaj – Pani Obrocka- mydlarka. Mydło produkowała. Kto jeszcze zamieszkiwał*



Wyszemieście? *Było 2 rymarzy, krawcy, szewcy, cholewkarze (chwila namysłu) taki profil był. Piekarze, kowale, kołodzieje, bednarze, rzeźnicy, ...*

HABSBURGOWIE,

Tu za tymi budynkami (p. Jerzy wskazuje na bloki) posiadłość arcyksiążęca, ogród był warzywny, zamek arcyksiążęcy. No o tu jakby ulica grodowa. Teraz co Panie widzą blok 9, to był piękny, piękny ogród parohektarowy, warzywny ogród arcyksiążęcy. Całe osiedle parkowe. Władze komunistyczne potrafiły zniszczyć ogród, to była taka psychoza, żeby wszystko co kapitalistyczne zniszczyć. Spacerujemy dalej. Mijamy domy i ludzi. Wyraźnie widać, że Pan Jerzy jest u siebie – wita się z większością osób mijanych w to poniedziałkowe przedpołudnie. Wspomina o swoich pasjach: sam żartobliwie nazywa siebie austrofilem, i pasjonatem jazdy na rolkach.

W międzyczasie docieramy pod kolejny, parterowy budynek. Nasz przewodnik sugeruje przejście na drugą



ulicy. Stajemy więc na chodniku tyłem do bloku. I słusznie. Można dzięki temu wsłuchać się w kolejną historię, i podziwiać jeden z lepiej zachowanych w stanie niezmienionym budynków. *A teraz tutaj, Marysia, Komorowskich 103. To jest dom państwa Kotlarskich, z tym że na dole była restauracja i tu był zajazd dla furmanów, i bardzo głęboki dół, i furmani którzy zwozili*



drzewo ścięte w lesie do tartaku tu sobie zajeżdżali i organizowali - tu chwila przerwy - spotkania ... towarzyskie. Delikatnie powiedziane. Z tym, że koń to sobie potrafił do domu sam wrócić, a on sobie tam gdzie leżał na tej furze. I tu ta Pani Kotlarska starsza, bo teraz już córki nawet nie żyją, opowiadała, że arcyksiążę, jak wracał gdzieś tam z włości, ze Sporyszu czy gdzieś tam dalej, to wstępował do restauracji – arcyksiążę Karol. To była tak sławna ta restauracja państwa Kotlarskich. Tu był charakterystyczny ten dół, że firy zjeżdżały poniżej poziomu drogi i parkowały. Pan Jerzy zwraca uwagę na malunek znajdujący się nad oknem w środkowej części budynku – faktycznie jest, wart uwagi.

Przystajemy jeszcze na chwilę. Pytam o niewielką kapliczkę – czy jest tutaj od zawsze? Nie. Postawiona, jak osiedle powstało. Osiedle XX-lecia, ale ze względu na przekształcenie ustroju powstało osiedle Parkowe.



Robimy kilka jeszcze kroków, i już nie jesteśmy na Wyszemieściu. Jesteśmy w Sporyszu. Ale to już inna opowieść.



POD GÓRĄ



Godzina 13:00 w lutowy piątek. Od kilku dni w Beskidach pada obficie śnieg, jest mroźno i słychać skrzypienie pod butami. Jesteśmy umówione „pod cmentarzem Przemienienia”. Jeśli ktoś nie wie, gdzie to jest – oznacza to najzwyczajniej, że nie mieszka w Żywcu. Ale będzie w stanie odnaleźć to

miejsce bez problemu – spotykamy się bowiem pod Lidlem. Kilka kroków, i jesteśmy na miejscu.



Po chwili spotykamy się z panem Andrzejem Ostrowskim - naszym dzisiejszym Przewodnikiem, który zabiera nas na spacer jedną z najbardziej malowniczych i spokojnych uliczek Żywca. I opowiada o miejscu w którym przeżył 73 lata tak, że jeszcze przez kolejnych kilka tygodni myślę o zimie Pod Górą sprzed 50 lat.

- Wszędzie wokół stały tu dawniej stodoły. W tym ogrodzie stał cały rząd stodoł, i płynęła świetna woda źródłana, która do dzisiaj zresztą płynie – a której nikt specjalnie nie pilnuje, i staw, który dziś jest zabrudzony – bo po prostu ludzie.... jak to ludzie...

- Czyje to były pola?

- Pola były różnych właścicieli. Najczęściej to były pola państwa Molińskich. Te wszystkie górki, nie górki. Ta górka cała (p. Andrzej wskazuje górkę obok swojego



domu) to moje Dziadki kiedyś kupili, i później to przeszło na nas. Tutaj gdzie ten domek stoi (wskazanie na dom pod domem p. Andrzeja) to były stodoły, one tak prawie że dochodziły do granicy. Bo tu wszędzie była cała masa stodoł, łącznie tu z tymi terenami gdzie jest przedszkole. Tu gdzie jest przedszkole, to był plac targowy trzodę skupowano, sprzedawano. No a stodoły były, bo było sporo też kiedyś rolników, którzy hodowlę przy domu prowadzili, później to powoli zanikało.

- Czy to był zawsze Żywiec?



- Tak, zawsze.

- Czyli jesteśmy w Żywcu od zawsze.

- Tak, w Żywcu od zawsze. I to były tereny, które nazywaliśmy Pod Górą. Natomiast na górze to była góra Burgałowska. Jakbyśmy wyszli kawałek wyżej, to dzisiaj wszystko zabudowane tam jest.

- Poza państwem Molińskimi, którzy tutaj mieszkali, jakie nazwiska tutaj – Pod Górą – się jeszcze pojawiały?

- Wiewiórowe, Ostrowscy, Lizak, Zuziak, hmmm – niech sobie przypomnę – Skrzypek... kto jeszcze? Gawlikowscy, mieszkali też Staszkiwicz, Plaskurowie. Bo to wszystko – droga dzisiaj jest Piłsudskiego – ale kiedyś nie było tego. Była tylko taka wybita kamieniami droga. I w piłkę się grało, pasionki były...

- Gdzie się zaczyna a gdzie się kończy teren zwany Pod Górą?

- Gdybyśmy stanęli przy Lidlu – byłby środek. A na boki to do szpitala, tam był płot i ten szpital, a tutaj do os. Młodych.

- Czyli domy pod cmentarzem to jest jeszcze Pod Górą?

- Wie Pani, można to jeszcze zaliczyć. Tu była Targowica, plac targowy. To sprzedali w latach 90-tych jakiejś spółce z Wrocławia, powstał CPN, powstał Lidl, kawałek jeszcze tam jest kawałek terenu, którego nie mogą się pozbyć, ale to jest



trudna sprawa, bo przy większych opadach to płynie rzeka. Jak kiedyś opowiadali, to tam były stawy. Stawy były w czasach trochę wcześniejszych. Moi dziadkowie wybudowali dom Pod Górą, który zresztą później sprzedano. Natomiast mówiąc szczerze to ja też za bardzo nie wiem, jak to było dokładnie. Część wyjechała do Ameryki, i tam zostali, część została tu i tak: albo nad Markiem – i tam był klan, tutaj (Pod Górą) był też – także ... w Żywcu.

- Czyli centrum tego obszaru zwanego Pod Górą stanowi dzisiejszy Lidl, a w stronę rynku kończy się gdzie? Która ulica jest ulicą graniczną?

- Bym powiedział, że tam gdzie jest ulica Pod Górą – to to będzie ta ulica, i jeszcze Krótka – bo też można ją wliczyć w to. Później ta ulica Komonieckiego, co idzie na cmentarz. To byłaby taka granica.

- Czyli Ogólniak już nie jest Pod Górą?

- Nie.

- Na ulicy Pod Górą byli rzemieślnicy zdaje się? – zapytuje Terenia Cimała

- Ale z tego nie zostało już nic.

- Ale generalnie rzecz biorąc mieszkańcy tego terenu zwanego Pod Górą utrzymywali się z czego? Z rolnictwa?

- Z handlu. Z reguły z handlu.

- A handlowali czym? Tym, co wyprodukowali?

- Nie. To znaczy z reguły to były jeżyny... żebym nie skłamał. Ale to byli też, wykonywali usługi. Naprawiali dachy, wod-kaniarstwo, takie rzeczy. ... Ale jak pamiętam, moja babka zajmowała się handlem, a dziadek też, tylko że on lubił konie, więc końmi handlował

- A tu gdzie jest os. Paderewskiego - to były pola?

- Tak. To były pola. Tutaj tak jak stoją auta w tej chwili (parkingi równoległe do bloków na



dzielnicy wewnętrznym osiedla) to był rząd stodół, a za tymi stodółami ciągnęły się pola. Co my jak chłopcy mieliśmy uciechę, bo w lecie jak nie chcieliśmy się w domu pokazać bo był szlaban, to były kwacki, tu mieliśmy wodę do picia - zresztą ta woda do dzisiaj do picia jest – i po tych górkach się biegało i bawiło się – w podchody... Myśmy tak nazywali.

- Proszę prowadzić – w którą stronę?

- Chodźmy tutaj (w górę ulicy) zobaczycie Panie o tu jeszcze został ostatni zabytek – stodoła jest jeszcze jedna, która się już powoli wali – obok domu Państwa Molińskich. Tutaj też (wskazując na ogrody wzdłuż drogi) to wszystko stodoły były. Teraz to ładnie zarosło, las jest,

- Czuje się Pan z tym miejscem związany?

- Hmm... No wie Pani... w zasadzie można powiedzieć, że - mam 75, to – 73 – bo 2 lata w

Guberni byliśmy, bo tam się urodziłem w Krakowie, także później się sprowadzili rodzice z dziadkami z powrotem do Żywca...

- Czyli byliście Państwo wywiezieni?

- Ja nie. Tam się urodziłem. Tata z Dziadkami był. A tutaj jak chcieliśmy pobiegać – a u państwa Molińskich był taki Michałek – my go nazywali, a zresztą on miał na imię Michałek – pilnował tutaj tych obejść. Wystarczyło do stawu wrzucić jakiś kamień, szum się zrobił, za chwilę – a on zawsze w takich cholewach dużych – za chwilę za nami!

I mieliśmy zabawę...

- Teraz jesteśmy na ulicy Paderewskiego?

- Tak. Na Paderewskiego.

- Czyli Górki.

- Tak.



Za tymi Górkami to już będzie Śliżowy Potok, nad szpitalem

- I Śliżowy Potok to już nie jest Pod Górą.

- Tak; to już jest Sienkiewicza.

- Proszę mi powiedzieć, gdy Pan był dzieckiem, to dzieci miały świadomość granic? Że my jesteśmy stąd, tutaj Pod Górą, a inni są stamtąd?

- Tak. Mieliśmy tę świadomość, i jak się to mówi, robiliśmy podboje. Tych chłopaków z Sienkiewicza, że Śliżowego Potoka trzeba było spacyfikować. A później już było wszystko w porządku. Przychodzili i tutaj... Wie Pani, tu w czasach mojej młodości było 120 chłopaków! A jak 120 chłopaków jest, w wakacje nie mają co robić, no to się różne psikusy robiło. Był



Pan Gawlikowski. On był tutaj w tej dzielnicy takim który pilnował porządku. A ponieważ widział, że my w tych budkach gramy w piłkę – tam gdzie świnie były – to po każdej środzie przychodzili ci co sprząтали ulice, wysprzątane wyzmiotane było idealnie... i my wówczas mogliśmy grać. To był taki społecznik – Pan Gawlikowski.

- A gdzie chodziliście do szkoły? Tych 120 chłopaków.

- Więc tak: póki było w ogólniaku podstawówka, to ja tam chodziłem do podstawówki.

- Do budynku LO?

- Tak, na parterze, I piętro – do 7 klasy się chodziło. A później już po prostu wybudowali „piątkę” – i do „piątki” albo na „zieloną” przetrzucali chłopaków. No a tutaj jest ten staw, w którym jest świetna woda. Ale co z tego, skoro nowy właściciel ogrodził, a ludzie byle co wrzucają. I to jest ostatnia stodoła, jaka została....

Przystajemy przy stawie. Śnieg skrzypi pod nogami.

- Taka historyjka (pan Andrzej wskazuje na staw): tu pływały ryby różnego rodzaju: karpie, i inne. No i kiedyś kuzyn mój – tata jego łowił ryby – chwycił małego szczupaka i wrzucił go. No oczywiście szczupak urósł kosztem ryb, bo je wszystkie zjadł. Później myśmy na niego polowali, chwyciliśmy go „na oko”. Ale były różne podejścia, bo jak już go prawie mieliśmy, zaczął walić ogonem, a tu cisza jest to słycać było, i znów wyleciał wspomniany Michałek – i w nogi. Ale w końcu go złapaliśmy.

- Tam jest Ślizowy Potok – i to jest północ. Czyli od północy graniczyście ze Ślizowym Potokiem.

- Tak.

- Od południa... z Folwarkiem, tak?

- Od południa tak. Od Wschodu Góra Burgałowska. A od Zachodu Rynek.



(Idziemy dalej)

- Przynależeliście do kościoła w Rynku, czy do kościoła na cmentarzu Przemienienia Pańskiego?

Zawsze w Rynku. Kościół „Przemienienia” nigdy nie miał statusu kościoła parafialnego. On powstał w 1700 roku. Później wokół niego zaczął powstawać cmentarz, i tak zostało.

- I nigdy nie było takich pomysłów? Bo to przecież bliżej?

Nie. Dlatego że dziś to jest zabudowane. Ale kiedyś to była wąska droga na cmentarz. I pusto. Dobrze się jeździło na sankach, bo jak się wyszło na samą górę, a zjechało się, to aż do - jak my to nazywamy - „Pod Trupkiem” - bar jest taki.

- To jest jeszcze Pod Górą...

- Tak,. To do tego momentu się jechało na sankach, bo nie było aut, nie było nic - nic nie przeszkadzało.

(Dochodzimy do granicy zabudowań)

A tu to jest - można powiedzieć - za tym już jest Ślizowy Potok. To jest droga spacerowa, można dojść na Górę Burgałowską, ludzie chodzą, czasem się dziki pokazują. Tu jest krócej... Kiedyś to była normalna droga. I to wszystko tak zarastało, zarastało... A gdyby usunąć te zwalone drzewa, to ludzie mieliby dużo krócej.

- Czyli rodzi się Pan w Krakowie, w Generalnej Guberni – czasy wojny - i wracacie do Żywca rodzinnie po wojnie w 1945?

- Tak.

- A jakie są Pana pierwsze wspomnienia związane z tym miejscem tutaj? Takie jakies pierwsze, które wraca, czy zostało w głowie?

- Nie zastanawiałem się nad tym... Z tego mojego pokolenia – oprócz tych którzy nie żyją – to w zasadzie tylko ja tu jestem. Reszta albo zmarła, albo zmieniła miejsce zamieszkania, czasem wyjeżdżali... Dzisiaj niektórzy wracają po 50 latach... Możemy iść.

- Zmieniają się odległości. Człowiekowi się czasem wydaje, że coś było bardzo daleko, a jak się dorasta i zmienia perspektywę, to się to jednak bliskie wydaje. Czy ma Pan takie wspomnienia?

- Ja powiem tak: ponieważ myśmy mieszkali Pod Górą (to wtedy była Świerczewskiego) do 1958 roku, później się rodzice wybudowali tutaj, i jak się szło przez Poniatowskiego, to to zawsze było daleko. Jako chłopiec. Ale dzisiaj to się wydaje krótko. A tu wtedy to wystarczało – jak nie było nikogo na placu – ktoś przyszedł z piłką, kopnął w stodołę dwa razy, echo się rozniosło, i za chwilę już byli wszyscy.

- A czy na przykład Moszczanica wydawała się daleko? Zapuszczaliście się tam w czasie tych chłpięcych wojen?

- Nie. To raczej oni częściej tu przychodzili. Zwłaszcza w okresie zimy. Tak jak np. zima była, to pamiętam przyszedł taki chłopak boso, na nartach. A narty miał z beczki zrobione... to dzisiaj jest nie do pomyślenia taka sytuacja...

(Wracamy z góry, mijamy znów starą stodołę)

- Czyli takie stodoły stały na tym terenie, Pod Górą, w zasadzie wszędzie?

- Tak, było ich dużo. Nawet tam, gdzie jest budynek, blok Futrzarni dawnej, po drugiej stronie drogi jak się na cmentarz idzie, blok stoi. Tam były też stodoły. Pamiętam, chłopcem byłem jak się to spaliło, to łuna była taka że u nas w pokoju tam, Pod Górą, było jasno.

- Czyli mieszkańcy z terenu Pod Górą nie pracowali w tych fabrykach? Żyli z handlu, usług?

- Po wojnie to się wszystko zmieniło. Część została przy handlu, część podejmowała pracę. Czy to we wtryskarkach, czy tam, gdzie dziś jest Lider – pamiętam, że tam praca była, bo tata tam pracował przez jakiś czas. Część w Śrubiarni też.

- A czy były jakieś zwyczaje,



tradycje które pamięta Pan jako te oczywiste, które się działy, i które z biegiem lat zniknęły w zasadzie?

- Ja wiem?... Prawda jest taka, że w Zabłociu macie Dziadów, natomiast tutaj Pastuszki, Trzech Króli. Pamiętam jak chłopcem byłem, był taki zwyczaj na św. Tomasza chodziło się 21 grudnia i skakało się. Ale! Trzeba było być pierwszym! Bo drugiego już nie wpuścili. A żeby być pierwszym, to trzeba było wstać o 3 rano i biegać po tych domach! No to zawsze się szło pierwsze tam, gdzie było wiadomo, że coś się więcej dostanie.

- A co można było dostać?

Pieniądze. Ja zawsze zaczynałem od Dziadków, bo dziadek zawsze te 100 zł dał, a to było sporo pieniędzy. Później wujków różnych, bo było tej rodziny trochę, a później jak się tych obkoczyło, to już jak leciało. Ale to był zwyczaj który zaniknął.

- A Pastuszki?

A Pastuszki – wie Pani - dzisiaj wie Pani, to już nie jest to samo. Szedł Żyd, szli pasterze – ci, którzy byli jak się Jezus rodził. Te wędrowki odbywały się od Bożego Narodzenia, a kończyły w Nowy Rok.

- A co się wieszowało w Tomasza?

Było tego dość dużo. Ładnie trzeba było zaśpiewać. Nie chciałbym pomylić, ale to było coś takiego: „Na szczęście, na zdrowie, na tego Tomasza, żebyście żyli w zgodzie...” i „W każdym kątku po dzieciątku, i żebyście nie mówili, że to które moje” – o takie coś.

(Spacerujemy dalej)

- Wie Pani, jeszcze jak chłopcem byłem, to były te niesnaski – zwłaszcza między klubami „Czarni” i „Koszarawa”. Ale z czasem wspólnie do szkoły chodziliśmy, do dziś utrzymujemy ze sobą kontakty, zatraciło się to. Czasem jak się zdarzył jakiś wariat, to dostał w ucho i był spokój. Te znajomości z czasów szkoły średniej trwają do dziś – bo bardzo dużo osób dojeżdżało do szkół technicznych do Bielska. Bo tu nie było – tam było Technikum Włókiennicze, Mechaniczno-Elektryczne. I przy dojazdach poznawało się ludzi.

Kiedyś to było tak, że po jednej stronie siedzieli z Zabłocia kibice, po drugiej - z miasta, bo trybuna to była neutralna. Ci wołali: „Siuter!”, Ci wołali: „Putosze!”. A ja byłem kibicem Koszarawy, a grałem w „Sole” – kończy swoją opowieść Pan Andrzej.

Żegnamy się w grudniowe popołudnie. Nasz przewodnik wraca do domu, My kierujemy się w stronę Rynku ulicą „Pod Górą”. Próbuje złapać rytm miasta poprzecinanego innymi arteriami, innym porządkiem ludzi, dróg i budynków. To niezwykle, jak zmienia się świat – czasem wystarczy jedno pokolenie. „TS Koszarawa” leży po prawej stronie Soły, a „TS Soła” po lewej. Jest jeszcze opowieść o „Czarnych”, „Góralu”, RKS „Zabłocie” i świata wokół nich – ale to już zupełnie inna historia.



ŚRÓDMIEŚCIE

Znacie kogoś, kto miał Babcię – dzwoniczkę w kościele? Ja już tak. 26 marca 2018 usłyszałam opowieść od człowieka, który miał szczęście w dzieciństwie huśtać się na najwspanialszej huśtawce jaką można sobie wyobrazić. Tym szczęściarzem był Zdzisław Binda – nasz dzisiejszy przewodnik.

Przychodzi informacja od Tereni: „Poniedziałek godzina dwunasta. Jesteśmy umówione z panem Zdzisławem pod Florianem. Do zobaczenia”. Uszczegółowiłam, pod którym. Bo dla mnie Florian to oczywiście ten w Zabłociu. Dla Tereni ten z żywieckiego rynku. I jak się okazało – dla naszego przewodnika również. Bo św. Florian i Rynek to miejsce, gdzie spędził dzieciństwo. Jak to się stało? O tym będzie ta właśnie opowieść.

- Zaczęło się u mnie wszystko 25 czerwca 1954 roku w szpitalu w Żywcu, to był piątek około godziny piątej, z tego, co mi Mama powiedziała. Urodziłem się.

- W Żywcu.

- Tak, w szpitalu żywieckim.

- I z tego szpitala żywieckiego zawieźli Pana dokąd?

Pan Zdzisław wskazuje kamienicę gdzie dziś mieści się cukiernia „Ania” i mówi:

- Tu. Do Babci w Żywcu. Kiedy miałem 2 tygodnie, wyjechaliśmy na placówkę służbową ojca w Bieszczady, do Łupkowa.



Wróciliśmy w 1956 roku tu do Babci, i dostaliśmy nakaz – bo wtedy były nakazy – na Komorowskich - wtedy to była Nowotki – do kamienicy Państwa Pieniżków, bo to była kamienica prywatna, ale dokwaterowywali ludzi. Wtedy w tamtych czasach tak się odbywało. I od 56’ roku, mimo że to się nazywało już Nowotki,



wychowałem. Było przejście i na Sępołowską, i na Rynek. I myśmy z tego przejścia korzystali. Tam były place, zabawy, dwa ognie... A tu Rynek - taki, że był Florian i dla Babci się chodziło z wiaderkiem po wodę.

- Czyli z Rodzicami Pan mieszkał na Komorowskich (Nowotki wtedy) a Babcia tutaj – w kamienicy na Rynku?

- Tak. Cały czas.

- Czyli w zasadzie całe Pana dzieciństwo



to podróżowanie między ulicą Komorowskich a Rynkiem?

- Dokładnie.

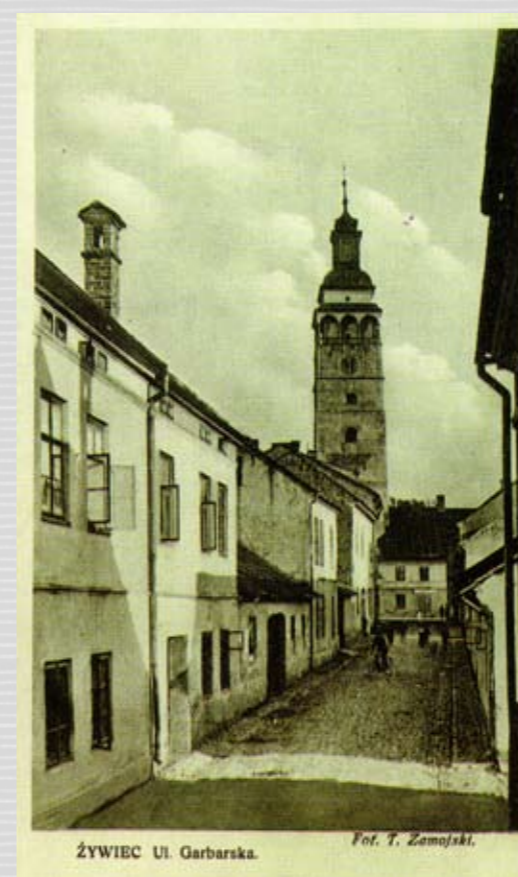
- A przedszkole?

- Było przedszkole. Ale krótko. W „Ekonomie” na dole było.

- A szkoła podstawowa?

- Szkoła podstawowa zaczęła się w „Ogólniaku”. Nosiliśmy tarcze „LO” Żywiec niebieskie. Parter, a potem pierwsze piętro. Chodziłem tam pięć lat. W piątej klasie, 65’ rok, jesień-zima, bliżej zimy niż jesieni, otworzyli „piątkę” – i wtedy myśmy przeszli z ogólniaka do „piątki” – do szkoły podstawowej. I wtedy do nas doszły też dzieci z Góry Burgałowskiej, od strony Moszczanicy, Oczkowa, i wtedy zaczęła się „piątka”, i była do 8 lat, bo wtedy – za moich czasów - wprowadzili szkołę 8-klasową. Rocznik 52’ mógł wybrać – albo idzie do zawodówki po 7 klasach, albo musi skończyć 8 klas i może iść do szkoły średniej.

- A czy wtedy, gdy Pan tutaj krążył między tymi



dwiema przestrzeniami, między Komorowskich a Rynkiem, to było takie poczucie, gdzie się ten Żywiec zaczyna i kończy? Że np. dzieci z osiedla to są dzieci z innej przestrzeni – dołączonej do miasta?

- Nie było osiedla!

- Nie było osiedla... ale była „piątka” – szkoła podstawowa?

- Tak. W szczerym polu stał dom.

- Ja sądziłam, że najpierw powstało osiedle, a potem szkoła...

- Nie. Owszem, były dwa bloki, po lewej stronie od „Powstańców Śląskich”. Dla mnie Żywiec – jeśli chodzi o zachodnią stronę – to most, jeśli o północną – to rzeźnia (dziś „ZP „Dobija”), jeśli chodzi o wschodnią to „Przemienienie”, a jeśli chodzi o południe, to rzeka Młynówka, która płynie wzdłuż ulicy obecnej Klonowej, i tam się kończyło. To był Żywiec. Przy czym dla mnie to nie miało żadnego znaczenia kto skąd jest – kolega to był kolega. Albo go lubiłem i się z nim kolegowałem albo nie. Niezależnie skąd był.

Schodzimy z płyty Rynku w stronę ulicy Sempołowskiej.

- Ja znam to jako Sempołowskiej. Ale Tata mój mówił Garbarska. Dalej była Młynówka, która płynęła za domami koło Gołębiów, koło Śpiewaków. To była rzeka, gdzie garbowano skóry – dlatego Garbarska.

- To jest ta rzeczka, której teraz nie widać?

- To jest ta rzeczka, która płynie od parku, Kościuszki, i jest zakryta w tej chwili.

Po zakończeniu podstawówki trafia Pan do ogólniaka żywieckiego. Wtedy też patronem był Kopernik?

- Tak. Tak, Kopernik cały czas – nic się nie zmieniło. Stara buda, szacowna. Wielu znajomych się wtedy poznawało, z całego powiatu żywieckiego. No i człowiek poznawał różnych ludzi.

- A Pana pierwsze wspomnienie związane z Żywcem?

- Mam. Z przedszkola. Pamiętam, jak ojciec w zimie przyprowadził mnie do przedszkola w zimie na sankach, zostawił mnie w tym przedszkolu, odjeżdżał z tymi sankami a ja stałem w oknie i myślałem: Tato, kiedy przyjdiesz z powrotem po mnie? Ale to jest taka chwila,



ułamek, mignięcie. Bo potem już jako dziecko to pamiętam tu (pan Zdzisław wskazuje ulicę Sempołowskiej) no bo Babcia, dom, szkoła...

- A tu się coś zmieniło od czasów kiedy był Pan dzieckiem? Poza tym, że samochodów przybyło?

- Ładniej jest.

(...)

- Tu Fabrowiczowie mieszkali, tu już nie pamiętam...

- A jak się bawiliście w tamtym czasie? Bawiliście się na Rynku?

- Na rynku też. Ale przede wszystkim tutaj (pan Zdzisław prowadzi nas na plac na tyłach ulicy Sempołowskiej). W dwa ognie, piłkę nożną, w palanta a w mieszanym towarzystwie w pomidora. Tu się to wszystko działo – mówiło się „na plac”. Idziemy. Tu mieszkali państwo Tetlakowie, a tu Pani Błaszczyńska – była wdową. A tu jest jeszcze ciekawostka – do tej pory próbuję ustalić, kto był właścicielem tej kamienicy (kamienica na rogu ulicy Sempołowskiej i Kościuszki). To jest piękna, najbardziej reprezentacyjna kamienica w Żywcu. Pamiętam te czasy, gdy tam mieszkał doktor Jakubiec, państwo Konopniccy, państwo Kupkowie, państwo Kaniowie, tam była pierwsza winda klatkowa w Żywcu.

Docieramy na plac. Pan Zdzisław opisuje, że gdy schodziło się z dróżki, na wprost wchodziło się na stary, drewniany dom, a dalej szło się na ulicę Młyńską. Od strony placu jeden z domów okolony był krążgankami betonowymi z winoroślami – takimi, jak w żywieckim parku przy fontannie. Pozostałością po tej konstrukcji są jeszcze stare słupki w ogrodzeniu.

- A nazwiska osób z tamtych lat?

- Państwo Zarębscy na dole, na górze byli Matuszkowie, dalej byli państwo Mikuszewscy – mieli pięknego psa Azę; kamienica miała wejście od Rynku i od strony ulicy Sempołowskiej.



A po lewej stronie było wejście do fryzjerni – pracował tam ojciec mojego kolegi.

- Jakie usługi były jeszcze na Rynku?

- Była biblioteka w domu Komonieckiego, wcześniej był tam oddział PTTK, potem przeniesiona do Zamku. Księgarnia była obok „Malwy”, i druga przy dzwonnicy. Moja historia jest związana z Żywcem – żyłem tutaj i żyję. I po prostu kocham to miasto.

Przechodzimy dalej placem na ulicę Kościuszki – wychodzimy uliczką vis-a-vis „Złotego Rogu”. Kamienica w której mieści się ten sklep dawniej była szara, podobnie jak Siejba – też była szara.

- A do Linki chodziłem tam właśnie.

- Do Linki?

- Nie zna Pani takiej osoby z Żywca?

- Nie. Kim była Linka?

- Osoba o dziwnej historii, ponoć szlacheckiego pochodzenia, mieszkała tutaj, miała magiel. Była zielarką, wysoką, postawną kobietą – niekomunikatywną. Bo – jak to mówią – zawód





- Zbierała zioła, krążyła po okolicy, miała wielką stopę i złamane serce....
- no tak. Tak mi Babcia opowiadała – że to przez to złamane serce.
- A wiadomo, kto był obiektem tej wielkiej miłości? Nie? To była tajemnica, tak?
- Gdzieś to słyszałem, ale nie wiem, czy to jest prawda, czy nie. Ona o tym na pewno nie mówiła.
- Ale świat mówił?
- Świat tak.

Pan Zdzisław wykonuje szeroki gest ręką, przekrzykując mijający nas niebieski autobus i jeżdżące samochody.

- Żywiec był wtedy mały! Co tu było – dwa auta przejechały przez cały dzień, i - ja wiem? – pięć, osiem tysięcy ludzi w środku...
- I była samotna?
- Linka?
- Tak.
- Tak.
- Nie miała dzieci?
- Linka? Nie. Nie miała. Przychodzili ludzie do magła. I ona umarła – tu w tym pomieszczeniu. Żyła w dobrej symbiozie ze zwierzętami – miała koty... Dzieci reagowały na nią bardzo żywiołowo, biegnąc i wołając: „o! Linka idzie!”

Idziemy dalej w stronę Rynku. Pochmurny dzień marcowy nastraja sentymentalnie.

- Ja bym chciał jednego tylko: udostępnić wieżę dla zwiedzających – mówi pan Zdzisław. Dla wszystkich – dodaje. A nawet dzwonnice. Dzwonnice znam – znam, bo ktoś mnie wprowadził. Babcia moja była dzwonnikiem...
- Jak się nazywała?
- Binda. Helena Binda. Była dzwonnikiem kilkanaście lat. Ja się tam huśtałem jako dziecko na tych linach, bo wtedy jeszcze nie było elektryki – tak jak teraz. Wieża... chodziłem z Elżbietą Wirth do klasy – jej ojciec był zegarmistrzem. I też właśnie dzięki temu zobaczyłem wieżę „od spodu”. Doszedłem tam na samą górę, poza zegar. To jest piękne...

miłosny spowodował, że odsunęła się zupełnie od świata. Zbierała zioła, miała mnóstwo kotów – no i miała magiel.

Rozmowa toczy się wokół budynków okalających Siejkę. Rozmawiamy o tym, co było tu dawniej, jak wyglądał Żywiec. Po chwili Terenia Cimała sugeruje:

- Ale proszę skończyć o Lince – bo to jest ciekawe...
- Na czym skończyliśmy? – pyta pan Zdzisław.



po prawej stronie, był fotograf – ale nie pamiętam, jak się nazywał...

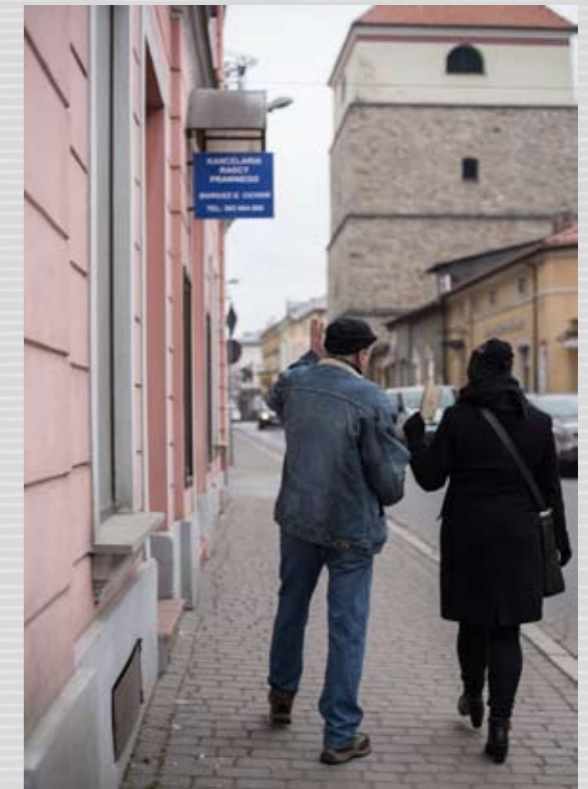
- Mielczarek – odpowiada Terenia Cimała.

-Chyba tak, chyba tak... A tu jest ten dom, który mnie zawsze fascynował (znów wracamy do kamienicy na rogu Sempołowskiej i Kościuszki) – tyle ludzi się przez niego przewinęło, i nikt mi nie potrafi powiedzieć, kto go zbudował. A znam go od dziecka. I te maszkarony. To jest unikalna kamienica. Na parterze kamienicy była kafejka Zemana – świętej pamięci już. Wszyscy uciekają... Ten Jurek Zeman był takim jakby konferansjerem – jak coś się działo na Rynku, to on to prowadził. Ale to dawno było – naprawdę...

W milczeniu wchodzimy we troje na Rynek od strony Dzwonnicy. Już za tydzień będzie Wielkanoc. Nie ma już śniegu, ale marzec w tym roku nas nie rozpieszcza. Zanim rozejdziemy się - każdy do swoich spraw – idziemy jeszcze na dobrą kawę do Czeko-Deko, gdzie Ania Pepek-Kupczak wybierze dla nas kawę pasującą do nastroju. Rozmawiamy jeszcze dobre pół godziny o Solali, rodzinie Serogów i o Zabłociu po lewej stronie Soły – ale to już zupełnie inna historia...



Idziemy dalej. dowiadujemy się, że w Siejbie za czasów dzieciństwa pana Zdzisława było muzeum. Mieszkali państwo Olszowscy, kilkoro dzieci: Bolek, Adam, Jurek... No i to było tu... Mieszkali Kanowie, tu nie było „foto u Jarka” tylko był szewc



GROJEC

Najpierw murawa ksero-termiczna, potem łódzie podwodne – czyli Michał Sobala opowiada o Grojcu.

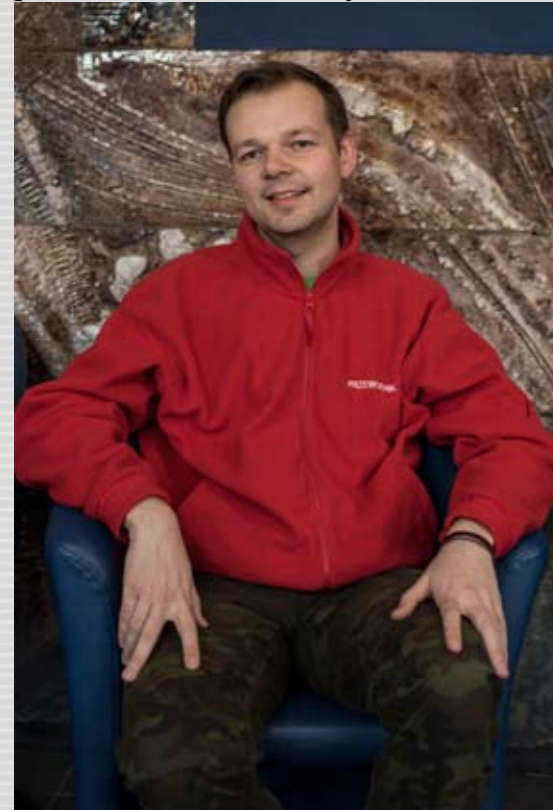
Na tę rozmowę umawialiśmy się czterokrotnie. Od początku wiedziałam, że to musi być Michał. Bo i Grojec i Michał są przecież związani z Żywcem – ale nie do końca. Bo Grojec to również trochę Wieprz, trochę Trzebinia, trochę zatem i Świnna, a Michał to, hmm, Hanys, który doktorat poświęcił Beskidom. I wie, gdzie jest Hyśkowiec w Żywcu. I Stówek na Kosarach. A Wy wiecie? Jeśli nie – zapraszam w podróż do Grojcu.

- Po raz pierwszy pojawiłem się w Żywcu...

- chyba w 1998 roku. Spędzałem rodzinne wakacje w Ujsołach i jako turyści, wybraliśmy się do Żywca zwiedzić miasteczko; tak wtedy postrzegałem Żywiec – jako miasteczko.

- kolejny pobyt?

- Kolejne pobyty były związane z wyjazdami w góry w ramach kursu przewodnickiego. Żywiec był wtedy punktem przesiadkowym z pociągu na autobusy PKS. Z tego okresu z kolei pamiętam, kultowe chyba, ziemniaczki z sosem przy dworcu kolejowym.



- A sam dworzec i okolice? Atmosfera tamtych lat?

- Sam dworzec był wtedy dość zaniedbany, ale zwracała uwagę jego piękna sylwetka. Z kolei dworzec PKS był jeszcze wtedy bardzo gwarny. Zresztą od dawna interesowałem się komunikacją - miałem nawet pospisywane rozkłady jazdy z Ujsół (rok 1998). W tamtym czasie, tj. w okolicach 2006 roku, nie postrzegałem tę część Żywca jako jego centrum, choć szybko z racji kursu przewodnickiego, dowiedziałem się, że to tak naprawdę dzielnica Żywca. Właśnie, to, że powstał tu dworzec spowodowało, że Żywiec ma jakby dwa centra: komunikacyjno-handlowe i zabytkowo-handlowe.

- Jakież nazwiska z tamtego okresu? Ludzie, od których "uczyłeś się" Żywca?

- Ponieważ w tamtym czasie Żywiec był tylko przejazdem, zatem ludzie związani z tym miastem uczyli mnie za pośrednictwem swoich książek: Zofia Rączka i jej przewodniki - po żywieckich kościołach i po



żywieckim parku, a także rys historyczny miasta i publikacja o Habsburgach i ich siedzibie w Żywcu. Dalej Komoniewski, jakby z za światów który przewijał się w wielu opisach krajoznawczych nie tylko Żywca, no i Stanisław Figiel z przewodnikiem po całym Beskidzie Żywieckim. Kontaktu bezpośredniego wtedy nie było. Tylko książki.

- Kolejny etap Twojej relacji z Żywcem to?

- Kolejny krótki etap to czas pisania pracy magisterskiej - wprawdzie nie dotyczyła ona Żywca, tylko okolicznych gór, ale właśnie wtedy po raz pierwszy udało mi się zanoć w Żywcu - w internacie - przy Mechaniku. Jak się później okazało, moim pierwszym "stałym" miejscem zamieszkania w Żywcu. I tak zaczął się najdłuższy etap związany z Żywcem - od końca stycznia 2012 roku przez 13 miesięcy mieszkałem w szkolnym Internacie... Mała korekta - to był styczeń 2013 r. Zatrudniłem się w Oddziale Biura Zespołu Parków Krajobrazowych Województwa Śląskiego w Żywcu. Współpracę zacząłem już jesienią 2012 roku, przez co często do Żywca dojeżdżałem, natomiast do końca stycznia 2013 - zacząłem pracę na etat.

- Nie wiedziałam, że w Żywcu jest taka instytucja... Gdzie mieściła się siedziba?

- Siedziba nadal się mieści - na ulicy Łączki. Kiedyś to była osobna instytucja - Zespół Zachodniobeskidzkich Parków Krajobrazowych, potem nastąpiło połączenie wszystkich parków w całym województwie śląskim w jedną instytucję. W ramach tej instytucji pracowałem w dziale Ochrony Przyrody, a później wykonywałem także obowiązki związane z realizacją Projektu Life+, który dotyczył przywracania wypasu owiec na beskidzkich halach.

- Po tym już nastąpił etap Kina Janosik?

- Nie; przez ponad rok byłem trochę wolnym strzelcem. Brak stałego zatrudnienia umożliwił mi jednak mocno skupić się na

pracy naukowej. Byłem na studiach doktoranckich i praca zawodowa mocno mi utrudniała prowadzenie badań. O i tutaj mi się przypomniało jeszcze, że w okolicach roku 2011 czy 2012 - dokładnie już nie pamiętam, kilka razy wybrałem się do Archiwum Państwowego w Żywcu. Ale wracając do roku 2014. Sezon letnie wykorzystałem na prace terenowe, a potem jesienią i zimą skupiłem się na opracowywaniu wyników i pisaniu pracy. I to był okres spełnienia mojego marzenia.

Kiedy zaczynałem studia doktoranckie marzyłem o tym aby pisać pracę w pomieszczeniu z widokiem na góry. Jako, że w lutym 2014 przeprowadziłem się z internatu do mieszkania, pracę pisałem przy dużym balkonowym oknie, przez które zerkałem prosto na Skrzyczne! Marzenie się spełniło, a co więcej... zerkałem na część swojego obszaru badawczego. Do dziś pamiętam to szczęście, które mnie przepęniało, kiedy opracowując wyniki czy pisząc kolejne linijki mojej pracy, zawieszałem swój wzrok na Skrzycznym, i to dodawało mi siły... Ale w końcu musiała mnie dopaść rzeczywistość Nie da się tak trwać bez stałej pracy. Samym widokiem gór człowiek się nie wyżywi. I wtedy pojawiła się oferta z Janosika.

- Nie da się mówić o Żywcu, nie widząc Grojca.





- Nie da się mieszkać w Żywcu i nie być na Grojcu, choć ponoć i tacy są.
- Oczywiście Mieszkańcy twierdzą uparcie, że to góra. Jak jest faktycznie?
- Jeśli mieszkańcy tak twierdzą, to myślę, że mają rację. I dla mnie, jako byłego już teraz



mieszkańca, to też jest góra. Choć chyba poprawniej byłoby mówić, że to wzgórze. Niby na górę za niskie - tyle czy tylko wysokość n.p.m. świadczy o wielkości góry?

- Emocjonalnie pewnie nie - ale formalnie? Grojec jest górą?

- Formalnie wzgórze - bo wysokość względna nie przekracza 300 m. Wynosi około 269 m licząc od wideł Soły i Koszarawy do Dużego Grojca a od Dużego Grojca do najniższego punktu w jego okolicy jeszcze mniej. Tak więc formalnie to wzgórze, zwłaszcza, że leży w Kotlinie Żywieckiej.

- Twoja pierwsza wyprawa na Grojec - kiedy i z której strony? Od Małego do Dużego, czy odwrotnie?

- Chyba rok 2013. Myślę, że tak. Wtedy od amfiteatru przez Mały na Średni. Na Duży dotarłem znacznie później, haha. Stopniowo zdobywałem tę górę, ale miałem też okazję zapaść się poza szlakiem - do torfowiska, której znajduje się, powiedzmy, że przy zejściu do Browaru.

- Co trzeba pokazać/powiedzieć o Grojcu tym, którzy są tam po raz pierwszy?

Trudno mi ocenić co jest największym walorem tej góry, bo to zależy od subiektywnych zainteresowań, ale jestem zdania, że należy zaczynać od ogółu - od zarysowania tła - już same walory widokowe jest bardzo duże, i sam spacer przez Grojec może zagwarantować sporo wrażeń - widać stąd najwyższą część Beskidu Śląskiego z majestatycznym Skrzycznem, widać przepiękną przełomową dolinę Soły, która przedziera się przez Beskid Mały, dzieląc go na dwie odrębne części. Widać stąd Królową Beskidów - Babią Górę! No i przede wszystkim widać tu rozległą Kotlinę Żywiecką z wioskami, Jeziorem Żywieckim i sam Żywiec. Ale to tylko to, co widać w oddali, a sporo ciekawostek można zobaczyć rozglądając się po samym wzgórzu.

- Czyli? Jakie to ciekawostki?

- Grojec posiada wiele śladów ludzkiej działalności. I to tej zarówno aktualnej, jak i z bardzo odległych czasów. Z racji swojego kształtu i dominacją nad Kotliną Żywieckim, był idealnym



miejszem do założenia grodziska. Na Grojcu wielokrotnie prowadzono badania archeologiczne, pierwsze już bodajże w XIX w, potem w latach 30. XX w a ostatnio np. z tego co mi wiadomo w latach 2012-2014. najstarsze ślady osadnictwa związane są z kulturą łużycką. Nie jestem archeologiem, więc nie chce tutaj popełnić jakiejś gafy - warto zwrócić się do osób, które prowadziły tu badania. Nie mnie jednak znaleziono tutaj ślady świadczące o tym, że



zajmowano się tutaj produkcją szkła. Badania archeologiczne prowadzone były w ramach współpracy Muzeum w Żywcu z Uniwersytetem Wrocławskim. To najstarsze ślady działalności, których przeciętny spacerowicz nie zobaczy, ale zobaczy za to wiele innych śladów. Po pierwsze zapewne wiele osób widziało piec wapienniczy, zlokalizowany u podnóża góry przy ul. Grojec. Otóż na Grojcu pozyskiwano niegdyś wapień - to jeden z niewielu punktów w Beskidach gdzie występuje wapień. Innym miejscem jest np. Jasieniowa w okolicach Golezowa - gdzie produkowano cement. Ale wróćmy na Grojec. Oprócz pieca, można zobaczyć ślady eksploatacji wapienia, choć po kilkudziesięciu latach od zakończenia eksploatacji, te wyrobiska mocno już pozarastały. Ale wapień to nie jedyny surowiec, który był tutaj eksploatowany - wydobywano także rudy żelaza na potrzeby huty w Węgierskiej Górze i w Sporyszu. Rudy te zwane syderytami, nie były jednak zbyt zasobne w żelazo, dlatego też ich eksploatacja nie była nigdy prowadzona na szerszą skalę. Mamy tutaj zatem sporo zapisów dawnej działalności człowieka. Nie tylko przemysłowej. Łąki, której aktualnie w wielu miejscach już zarastają, są efektem wypasu owiec w przeszłości.

Wycięcie lasu oraz wapienne podłoże spowodowało, że na stokach Małego Grojca, które są eksponowane na południe o mocno nagrzewane przez promienie słoneczne, możemy obserwować bardzo cenna florystycznie murawę kserotermiczną.

- A tunele? Słyszałeś o tajemniczych tunelach?

(Po chwili dociera do mnie, że nie mam zielonego pojęcia, o czym Michał mówi. Wtrącam więc pytanie: czym jest murawa kserotermiczna?????)

- Tak, słyszałem. Ich powstanie prawdopodobnie jest związane z produkcją części do niemieckich łodzi podwodnych.

- Najpierw murawa kserotermiczna, potem łodzie podwodne, ok? Wyjaśnij mi - jak laikowi - czym jest murawa kserotermiczna?

- Produkcję tę prowadzono w papierni. Ponieważ istniało zagrożenie nalotami, to rozpoczęto budowę tunelów, które nie zostały jednak ukończone. W kwestii tuneli niestety więcej nie wiem.

Zatem wróćmy do murawy.

Murawa kserotermiczna to rodzaj nieleśnego zbiorowiska roślinnego, który powstaje w sytuacji, gdy mamy do czynienia z suchym podłożem wapiennym. Zbocze Małego Grojca (zwanego też Czarnym) jest eksponowane na południe, przez co mocno ogrzewa je słońce. Ponadto jest ono mocno nachylone, co powoduje że woda szybko spływa. Przez co podłoże jest przesuszone. Pokrywa je gleba, która powstała w wyniku wietrzenia skał wapiennych dlatego też jest sucha. Użytkowanie tego zbocza przez człowieka, spowodowało, że mogły tu wkroczyć gatunki roślin sucholubnych i wapieniolubnych. Bez ingerencji człowieka, tej murawy by nie było. Można tu spotkać takie gatunki jak chaber drakiewnik, szławia łąkowa, czy objętą ścisłą ochroną goryczkę krzyżową. Występuje też np. lebiodka pospolita, którą może być stosowana w kuchni jako oregano. Co ciekawe jeśli ktoś będzie wybierał się na Grojec co kilka tygodni to zobaczy tu ciekawe zjawisko zwane zmiennością fenologiczną...

- czyli?

- Zjawisko to polega na tym, że murawa zmienia swoją barwę. Co pewien czas zakwitają inne gatunki roślin i dominuje inny kolor łąki. Na początku czerwca murawa zabarwia się na fioletowo - kwitnie szławia łąkowa. Kilka tygodni później murawa przybiera żółtą szatę - to





dominacja omanu wierzbo-
listnego. Potem dominuje kolor
zielony - bujnie rozrastają się
trawy takie jak kłosownica
pierzasta. Warto zatem zaglądać
tu kilka razy do roku. Ale
Grojec to nie tylko przesuszona
murawa. mamy to zbiorowiska
roślinne o skrajnie odmiennych
wymaganiach siedliskowych.
I jeszcze torfowisko! Jest ono
chronione w formie użytku eko-
logicznego. Użytki ekologiczne

to zasługujące na ochronę pozostałości
ekosystemów mających znaczenie dla
zachowania różnorodności biologi-
cznej. I właśnie torfowisko na Grojcu
jest takim użytkiem - nazywa się Stówek
na Kosarach pod Hyśkowcem. Można
tu spotkać owadożerną rosiczkę.

- Stówek na Kosarach??? to nazwa
własna?

- Tak, to nazwa użytku ekologicznego



- Tego na Grojcu – żeby była jasność?

- Tak, tak!

- A Hyśkowiec? Która to część Grojca?

- To jest jak się idzie z Średniego Grojca w kierunku na południe. Taka szeroka droga, ze Średniego na Niwy jak się idzie, to potem do lasu się odbija w prawo, tam taki potoczek spływa.

- Twoje ulubione miejsce na Grojcu?

- Odcinek z Małego na Średni Grojec - kiedy spacerujesz lekko pod górkę i odsłaniają się przed Tobą kolejne elementy rozległej panoramy. Ale w kierunku przeciwnym też - zwłaszcza, gdy Słońce chowa się za Beskidem Śląskim i nadaje wszystkiemu złocistych barw. Bajka.

Chwilę jeszcze rozmawiamy. Trochę o wspólnych znajomych, planach, trochę o przestrzeni miasta. O pieszych wędrówkach przez Ksieże Gaje do Kocurowa i Koleb – ale to już zupełnie inna historia...

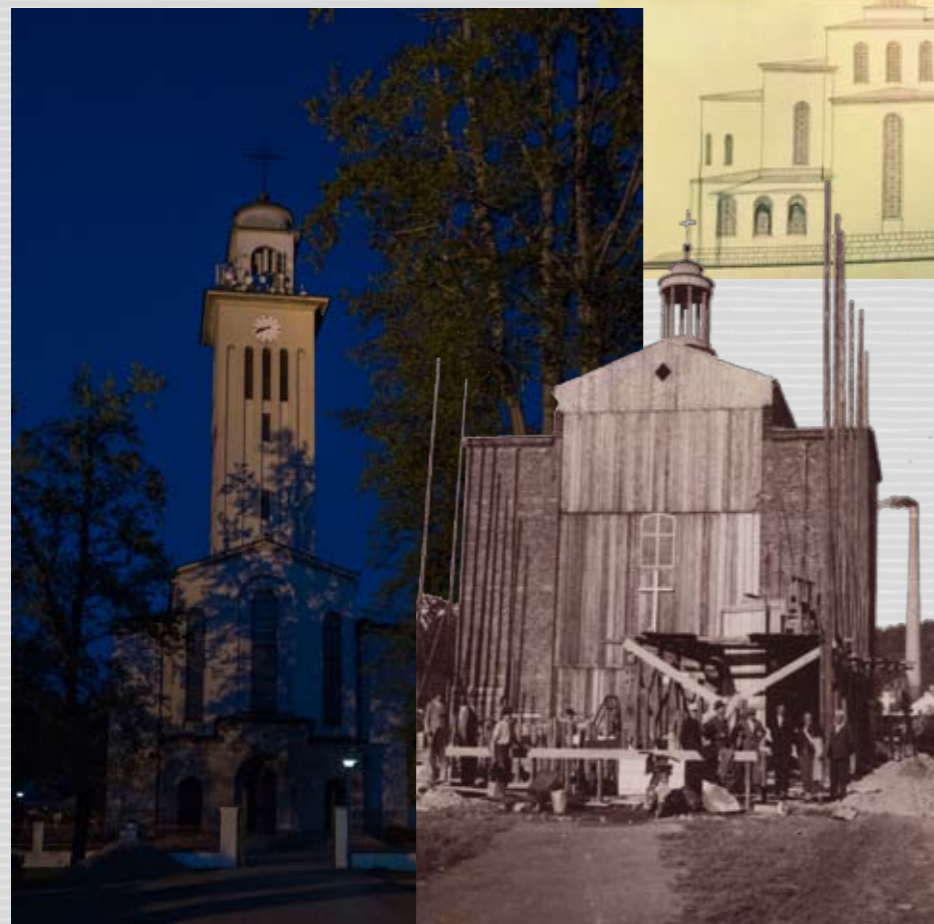
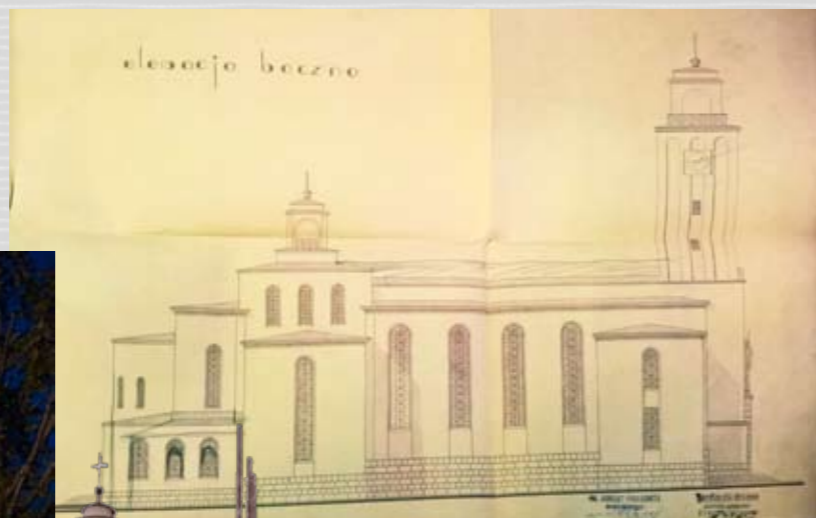


ZABŁOCIE

To była ostatnia rozmowa przed zakończeniem „Mozaiki”. Na Macieja Wojtyłę czekałam cierpliwie. Bo przecież nie da się mówić o Zabłociu bez Jukaca.

Zabłocie jest trochę jak kalejdoskop. Każdy widzi coś innego. Bo historia Zabłocia jest długa, trudna i trochę zapomniana, a trochę przemilczana. Są tacy, którzy powiedzą, że to typowe dla galicyjskich prowincji. I zapewne będzie w tym trochę racji. Ale tylko trochę. Bo gdy uważniej się przyjrzeć, wyłania się historia niezwykła. Historia miejsca z murowanymi kamienicami na lewym brzegu rzeki Soły powstałej gdzieś w Średniowieczu, trwającego do dziś. Mieszkał tu Polacy, Czesi, Żydzi, Niemcy, Austriacy i Szwajcarów ponoć kilkoro. Niestety nie można już zapytać ani księdza Słonki, ani Ignacego Seroga, ani Ignacego Pawlusa, ani dr Lili Blumenfeld, ani Mateusza Stawarza ani Zofii Rączki o ich wspomnienia. A wszyscy Oni mieszkali na Zabłociu.

Ksiądz Słonka wybudował kościół (1938), Ignacy Serog – rozbudował papiernię „Solali” (1918), Ignacy Pawlus zwolniony z



pańszczyzny stworzył mikro-kosmos zwany Pawlusiem, Mateusz Stawarz figurę Jezusa Nazareńskiego (1795), dr Lili Blumenfeld była lekarką-pediatrą, a Zofia Rączka – zbadała i opracowała historię Żywca i Zabłocia.

Są w Zabłociu miejsca, które zobaczyć trzeba koniecznie, jeśli chce się zrozumieć jego fenomen. Jakże?



Choćby wieża Solali z zegarami na 4 strony świata, kirkut na Stolarskiej, Krzyż na Węgrach, Stację Kolei Transwersalnej, Kościół św. Floriana, zabudowania browaru autorstwa Karola Pietschki, no i kamienicę przy dzisiejszej



Zapraszam zatem w podróż po zakamarkach Zabłocia, pełnego tajemnic i niebanalnych historii.



- jakie jest Twoje pierwsze wspomnienie z Zabłocia?

- Boisko „Czarnych” oczywiście. Stadion teraz obecnie TS „Górala” Żywiec i obok treningówka – tam żeśmy przecież w piłkę grali. Ostatnia tama – teraz jest tam plaża zrobiona w projekcie, w którym i Jukace pomagali, i chłopaki z Zabłocia, żeby to zorganizować. Tam się wychowałem, tam się nauczyłem na główkę skakać. Jaz, góra Grojec, Dzielec... to są miejsca, które wiążą się bardzo z takim wspomnie-



niami z lat tych młodości i nawet z dzieciństwa, kiedy nie było Zabłocie jeszcze tak rozbudowane. Bardzo było dużo takich przestrzeni, gdzie ludzie uprawiali zboża, goniło się z faglami, jeszcze wtedy opalało się zboża na Zielone Świątki, ogniska się paliło....

- Co to są fakle?

- Fakle to są pochodnie. To była też taka tradycja związana z naszymi Beskidami, że goniło się i bodajże się śpiewało: „Panie Boże, opal zboże! Sanetrowe...” i wymieniało się nazwiskami, i się tak opalało, żeby po prostu był urodzaj, żeby to zboże wydało plon. To w Zielone Świątki się zawsze goniło. Potem było ognisko. No wykopki jak zwykle, ognisko też po wykopkach, ziemniaki prosto z ogniska z pola... Takie dzieciństwo... W piłkę się grało kurde... na Grojec się chodziło, podchody...



- Którędy chodziliście na Grojec?

- Na Grojec przechodziliśmy na jazie przez słupki, albo po prostu szło się przez most w Browarze, no i wychodziło się na Morskie Oko – tam jest też piękna miejscówka. Ja do dzisiejszego dnia tam często zaglądam, siadę sobie na Morskim Oku, posłucham jak Soła jeszcze daje czadu, jak tam jest ten szum rzeki, cisza, spokój, takie odprężenie...

Warto zobaczyć górę Grojec, wyjść na szczyt na Stasic. Dawniej się jeździło na Grojcu na nartach; to się nazywało „pod drzewkiem” i „Witkowe pole”. Tam stała – bodajże jeszcze za dziecka tak za mgłą pamiętam – stała baczka, tam wypasali owce.



- W którym miejscu?

- Nad jazem zaraz. Tam gdzie strumyk wypływa, to było tak między Midorem – stawami, a jazem.

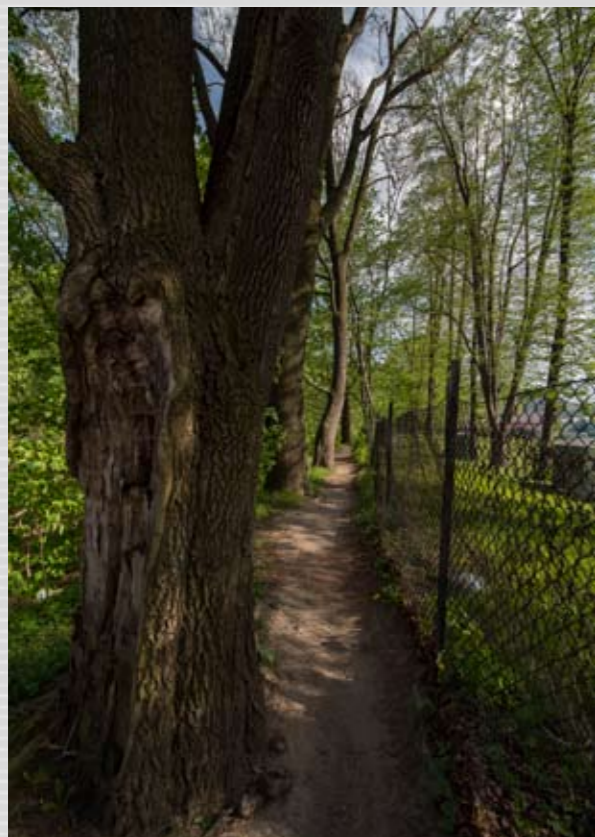
- A jak tam lataliście na to „Witkowe pole” i stawy Midora, to mieliście poczucie że to jest Zabłocie?

- Tak! To jest Zabłocie. To leci tam koło Słonki - bodajże tam „szlak bursztynowy” dawniej był. Bo według legendy tamteży szedł „szlak bursztynowy”. Na Grojcu

był – co jest opisane w historii – zamek drewniany, dużo było tu grup zbójnickich u nas. Dużo tutaj mamy – i Sołę, i boisko TS „Soła”, i korty tenisowe – gdzie też się chodziło grać, bo bardziej byłem tak związany ze sportem w młodych latach. Jeszcze wtedy zdrowie dopisywało, i grało się. Na jazie żeśmy też nieraz poimpreszowali, posiedziało się, powspominało różne sytuacje co się nawywijało. Ten się chciał pochwalić, tamten też się chciał pochwalić... (śmiech). No i tamę żeśmy robili. Pamiętam Pan Dziki, świętej pamięci, zawsze nas stamtąd przeganiał, bo tam był przecież zakaz kąpieli, ale już potem – jak się to mówi - przymykali na to oko wszyscy i można się było kąpać. I w starym basenie, gdzie są przepławki, gdzie Grobla płynie do Papierni. W Grobli żeśmy się też kąpali. Było tam po prostu masę ludzi, masę ludzi jak na tamte lata 80-te, 90-te to zawsze, zawsze jaz był wypełniony po brzegi. U Słowika też potem jak był



nas stamtąd przeganiał, bo tam był przecież zakaz kąpieli, ale już potem – jak się to mówi - przymykali na to oko wszyscy i można się było kąpać. I w starym basenie, gdzie są przepławki, gdzie Grobla płynie do Papierni. W Grobli żeśmy się też kąpali. Było tam po prostu masę ludzi, masę ludzi jak na tamte lata 80-te, 90-te to zawsze, zawsze jaz był wypełniony po brzegi. U Słowika też potem jak był



ośrodek też się tam chodziło, były różne dyskoteki. Teraz tam jest jakaś ciężka sytuacja. Ale szkoda tego miejsca, bo to było takie miejsce gdzie zbieraliśmy się jak sobota była, bo tam były organizowane różne imprezy, jakieś dyskoteki, czy się szło na piwo. Zawsze się tam szło, szczególnie w lecie, jak było ciepło. Browar, jak zwykle, to też jest legenda, „Papiernia” teraz już zlikwidowana. W „Papierni” pracowałem swego czasu, ale to były czasy gdzie „Papiernia” dobrze funkcjonowała. No dużo jest takich miejsc, choćby na Dzielec jak się idzie była wieża triangulacyjna. Tam są piękne widoki stamtąd, jak się w te pola głębiej wejdzie – jaki tam jest widok! Tak samo z Grojca. Zabłocie jest piękne. Jest piękną dzielnicą, choć trochę zapomnianą. Ja pamiętam jeszcze jak rosły morwy przy drogach...

- Ja też pamiętam! Przecież my to jedliśmy wracając ze szkoły.

- No jedliśmy. Tylko potem rąk się nie szło domyć.

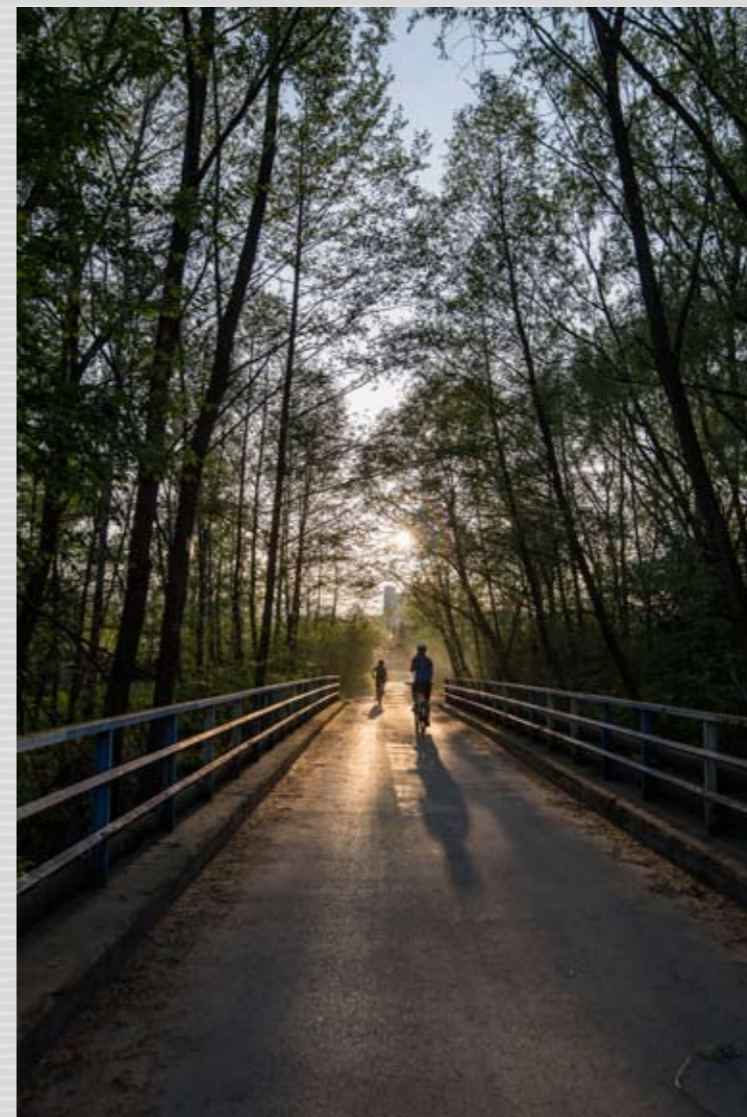
- Było ich dużo koło przystanku obok dworca PKP.

- Tak, tak. No akurat plant to tak nie pamiętam za bardzo, bo to były gdzieś lata 70-te, 60-te jak tam chłopcy przesiadywali. To też tam było takie miejsce, jak się to mówi, takie związane ze wspomnieniami starszych chłopaków.

- Gdzie dokładnie?

- Tam, gdzie jest teraz parking przy dworcu.

- To się Planty nazywało, tak?



- Planty, tak, tak... A jeszcze wcześniej, w latach powojennych to słyszałem od mojego Taty, od mojego wujka Kazia, że tam gdzie był PKS, a teraz Biedronka, że tam było boisko. To było pierwsze boisko piłkarskie tutaj. Była też skocznia narciarska – mój wujek, Kaziu Wojtyła, miał okazję skakać tam na tej skoczni. On ma bardzo obszerną wiedzę o Zabłociu. Tata mi opowiadał również o „Midorowych ogniach”! jakieś tam zjawisko powstaje w Boże Ciało. To jest jeden dzień w roku, tam gdzie pod Grojcem były kiedyś piece gdzie wapno wypalali na Midorowym.

- Tam gdzie są stawy?

- Tak.

- I mówisz, że tam były „Midorowe ognie”?

- Tak. To jest tam jakieś takie zjawisko się pojawia, i podobno nie wszyscy to widzą. Były osoby, które miały okazję coś takiego widzieć. I próbowali dojść do tego, czy ktoś z petard nie strzela, ale to samoistnie się pojawiała – jakieś takie ogniki, coś tam takiego.

- Super.

- No.

- „Midorowe ognie”... A „Morskie Oko”? Gdzie to jest?

- To jest trzęsawisko. Przechodzi się w Browarze przez most, skręca się w lewo tutaj w stronę Niwy, i koło źródła się wychodzi do góry. To jest taka piękna miejscówka, że to jest obłęd. Według opowiadań starszych ludzi jest tam czołg rosyjski – podczas wojny wpadł i został, utopił się. Ale ile w tym jest prawdy – nie wiem. Dużo jest też miejsc, gdzie podczas wojny bronili się Polacy. Te stanowiska pozostały. Poniżej szczytu Grojca, poniżej Stasica. Wygląda to jak rów, a to były przejścia, okopy, jest taki rów, leje są takie wykopane. I tam w jednym miejscu stał ciężki karabin maszynowy.

- A powiedz mi, skąd ta nazwa Grojca: Stasic? To jest Stasic od Staszica czy od Stasicy?

- Od Stasicy chyba... Nie wiem.





- Czyli na Stasica się chodzi?
- Na Stasic się chodziło. Na grzyby można iść, do lasu, pod krzyż. Odpocząć. Na Zabłociu dobrze byłoby posadzić drzewa. Jakies miejsca wybrać i posadzić. Przecież kiedyś więcej drzew tu było. Zabłocie było zielone!

Rozmawiamy o drzewach, morwach, kasztanach, sklepiku przy bloku kolejowym w którym stał kasztan na środku. Teraz kilka zostało obok Kościoła pod wezwaniem Świętego Floriana. Sam kościół wybudowany na planie krzyża, orientowany, nawiązuje do stylu romańskiego. Trudno dziś wyobrazić sobie Zabłocie bez tej jasnej budowli, choć nie ma ona jeszcze nawet 100 lat. I trudno mówić o Zabłociu, nie wspominając o pierwszym proboszczu – księdzu Słonce.

- Kto was trenował gdy graliście w piłkę?
- Mieciu Przerwa, Boguś Szrajner. Boguś grał w

„Czarnych”, Mieciu, gdy jeszcze stadion był przy Browarnej, to założyłam taką szkółkę piłkarską, no i tam żeśmy trenowali. Dużo chłopaków od nas w Zabłociu grało.

- Z kim grałeś?

- i Janek Michalski, Rafał Kupczak, Wojtek Kurowski, mój brat Marcin, było, było trochę tych chłopaków. Ale myśmy mieli taką swoją ekipę, gdzieś się spotykali. Przeważnie się



chodziło na czwartą tamę, i zastaw żeśmy tam robili...

- Gdzie jest czwarta tama?

- Nad Leśnianką. Myśmy zawsze liczyli od góry. Liczyło się od tamy drewnianej. Poniżej drewnianki. Tam też były wspomnienia. Tama też była obłożona. Podobnie jak Soła „pod skałką” jak jeszcze nie było ujęcia Browaru. Do dzisiaj jest ta nazwa, tylko już to koryto jest zmienione. Tam też była piękna miejscówka za moich czasów. Wiele osób tam nawet namioty rozbiło, i koczowali tam. Jak były wakacje, to przyjeżdżali turyści którzy mieli jakieś pojęcie o tym albo mieli rodziny tu na Zabłociu, i np. gdzieś się tam ożenili w Polsce czy dziewczyny powychodziły za mąż, no i wracali tutaj, to jak tylko pogoda była to ci co znali miejsca tutaj na Zabłociu to namioty brali i rozbijali się tutaj. To był w ogóle inny czas i inna mentalność ludzi



była wtedy. Dawniej też ludzie bardzo sobie pomagali, zwłaszcza w polach. Teraz to już chyba nikt nie ma tych pól – chyba tylko Szymek ma jeszcze gospodarzkę i Andrzej. To są chyba tylko te dwie osoby na Zabłociu które gospodarzą.

- A skąd Ty się wziąłeś w Jukacach? Jak to się stało?

- Uuuuuuuuuuuuu... Jak byłem dzieckiem, to się ciężko Dziadów bałem. Pamiętam, jak mnie kuzyn gonił, Marek Więżik. Mój sąsiad, Grzesiu „Bącek”, Stasiu Pawlus... na Zabłociu była ich masa. Tata mój naprawiał w tamtych czasach telewizory, bo pracował w ZURiT-cie. Więc często przylatywali jako podziękowanie Ci, co gonili za Dziada. Potem przerwa była. Później zacząłem robić sobie sam bat, gdzieś tam znalazłem w piwnicy, tak jakoś zacząłem się do tego przyzwyczajać, i z roku na rok gdzieś te latka przychodziły i tak się to zaczęło.

- Pierwszy raz kiedy leciałeś?

- W 89. Za kominiarza. No i wtedy nie doleciałem, ze świętej pamięci Jarem Szczygłem. Byliśmy na Mszy Dziadowskiej, poleciliśmy ponumerki do Browaru, i żeśmy nie dolecieli (śmiech). Poleciliśmy do Jasia spać (znów śmiech). No i tak to było – po gonieniu już. Potem to już było bardziej rygorystyczne, te składki pilnowane, i tak dalej.

- A kto był wówczas Kasjerem? Gdy leciałeś pierwszy raz?





- Albo Arek Pawelek świętej pamięci, albo Grzesiek Biernat. Tak jakoś.... Już nie pamiętam dokładnie.

- I od tego czasu co roku jesteś?

- Miałem też przerwę. Ale wróciłem. Trzeba był stanąć na nogi po różnych wertepach. Ale jakoś się udało. To jest piękna tradycja związana z Zabłociem – tradycja nasza, Jukacy. I trzeba ją podtrzymywać.

- Jak to jest z Wami? Wy jesteście Jukace czy Dziady?

- Jukace. To się wzięło bodajże od jukania. Jak lecieli, to wołali: „ju, ju, na tabackę, ju, ju!”. Ludzie wtedy wychodzili przed domy, już wiedzieli że lecieli przebierańcy. Bo wtedy nie leciała taka banda jak w latach 80-tych, 70-tych, ze leciało ponad 100 Dziadów. Raz doszło chyba do 180! Tadek Boraak ma też o tym dużą wiedzę, Łukasz – jego syn, Szymek Kubiesa, Krzysiek Ścieszka – to są ludzie, którzy to pielęgnują, bo inaczej mogłoby się to rozpaść. Już do tego dochodziło bodajże w latach 90-tych. Wtedy zajął się Tadek tą grupą, i udało się to zachować. Bywało ciężko – każdy musiał sobie strój sam wykombinować.



Sołę. Są jeszcze „Tornie” – czyli krzaczyska. Szło się zatem „za tornie”. Można było iść również „Pod Skałkę”, „Pod drzewko” i na Starorzecze.

O Starorzeczu do dziś krąży opowieść, opisana zresztą w Kronice Beskidzkiej, jak to czterech młodych Zabłocanów wybrało się na kemping na Starorzecze właśnie. Rozszalał się deszcz, wezbrała rzeka. Akcja ratunkowa zakończyła się sukcesem.

Można też kierować się na Cypel – gdzie z Grojca wypływa źródło. Można w Zabłociu iść na „Węgry”. Dawniej spotykano się „u kabana”, „u Łacioka”, „u Babki”, „u generała” i „u Myśliwca”, albo w „Algierze”.

Gdzie jest Algier na Zabłociu? Tak dawniej zwano piwiarnię w Browarze, a dziś to „Piwiarnia Żywiecka”. I tu właśnie kończy się nasza opowieść – o ludziach, miejscach, wspomnieniach. Czyli o mieście, które ma niejedno oblicze.

Robiło się z pizam, różnych zasłon szyli. Bardzo ciężko było o dzwonki.

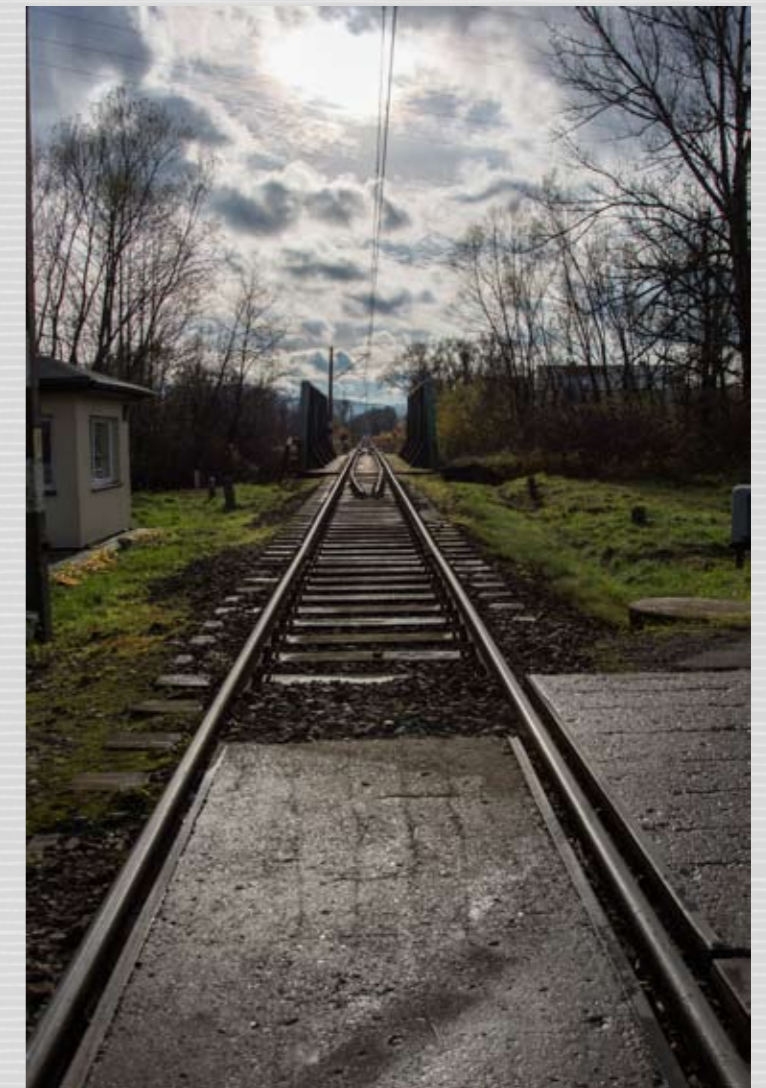
- Maciej, czy Ty jesteś urodzony Zabłocanin?

- Tak. Ojciec jest Zabłocanin. I Mama. Cała moja rodzina jest.

- A przeszkadza Ci określenie „Siutrorz”?

- Nie. Przecież to jest związane z naszą kulturą, naszą tradycją Zabłocia, nie? Przecież siutrorze jak z Soły wybierali żwir, siuter, to z tego się żyło.

Opowiadał mi jeszcze Maciek o tym, gdzie w Zabłociu są „Łęgi” – czyli tereny od Podtorza w stronę Grobli. Gdzie jest „Bełk” – ulokowany od dzisiejszej „ekspresówki” w dół, tam, gdzie dziś jest ulica Nowa, Słoneczna czy Polna. Żeby dotrzeć „Pod Łoski” – trzeba przejść kładkę nad Leśnianką, obok plaży i iść w stronę ujęcia, nad



Anna Barabasz

socjolożka, historyczka, działaczka NGO, mieszkanka Żywca-Zabłocia.

Absolwentka Uniwersytetu Jagiellońskiego na kierunku historia oraz Uniwersytetu Opolskiego – kierunek politologia i nauki społeczne. Specjalizuje się w praktycznych aspektach antropologii, tj. tożsamości małych



ojczyzn, zagadnieniach rozwoju lokalnego, tożsamości, historii bliskiej, diagnozach i strategiach społecznych oraz narracjach lokalnych i zagadnieniach pamięci społecznej.

Równolegle z zaangażowaniem w działania Żywieckiej Fundacji Rozwoju realizuje i animuje działania grup nieformalnych: Aktywnego Zabłocia i Kobiet na Żywiecczyźnie, oraz Stowarzyszenia Paramus.

Autorka kilkudziesięciu artykułów i publikacji zbiorowych z dziedziny socjologii oraz filozofii społecznej, oraz monografii i filmu dokumentalnego „Zarlive klimaty”. Konsultantka i ekspertka przy projektach z zakresu socjologii lokalnej, miasta, tożsamości, rozwoju lokalnego, płci i rodziny. W 2009 roku uhonorowana Nagrodą Rektora ATH za aktywną działalność naukową, a w roku 2014 – Nagrodą Narodowego Instytutu Dziedzictwa dla organizatorów wydarzeń w ramach Europejskich Dni Dziedzictwa 2014 w woj. Śląskim.

Prywatnie matka Michała, miłośniczka literatury, francuskiego postmodernizmu i Bacha.

Teresa Cimała

Animatorka kultury, fotografka. Od urodzenia mieszka w Żywcu. Wolontariuszka, organizatorka i koordynatorka wielu działań związanych z promocją sztuki fotografii, uczestniczka wystaw fotograficznych („Moment”- Oświęcim, „4 pory miasta” – Opawa, „Tu i teraz”- Żywiec, I i II Pawilon Sztuki Kobiet – Żywiec i inne). Organizuje i prowadzi warsztaty dla dzieci, młodzieży i seniorów. Pomysłodawczyni i koordynatorka Foto Zawodów w Żywcu.



Joanna Zając-Slapničar

Absolwentka Akademii Sztuk Pięknych w Poznaniu. Dyplom u prof. Piotra C. Kowalskiego (2004). W roku 2016 ukończyła studia podyplomowe na Akademii Sztuk Pięknych w Lublaniu w Słowenii (kierunek Wideo).



Zajmuje się malarstwem, grafiką, projektowaniem graficznym, ilustracją, wideo i sztuką nowych mediów. Bierze udział w międzynarodowych projektach, sympozjach i plenerach artystycznych. W 2008 roku nagrodzona za najlepszą akwarelę w XLIII Międzynarodowym konkursie malarskim w Piranie (Słowenia), a w 2017 roku otrzymała I nagrodę w II Ogólnopolskim Konkursie Plastycznym KOLAŻ – ASAMBLAŻ w Olkuszu.

Poza działalnością artystyczną prowadzi zajęcia plastyczne i warsztaty twórcze z dziećmi i dorosłymi. Obecnie mieszka z mężem i córką w Żywcu, gdzie otoczona pamiątkami rodzinnymi zgłębia historię i tradycję Żywczaków.